12 stron

Cena 8 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III — Kraków, dnia 17 marca 1946 r. — Nr 11 (68)

KONSTANTY GRZYBOWSKI

Paralele historyczne

1

„Kiereńszczyzna“ nie jest zjawiskiem Rosji roku 1917. „Kiereńszczyzna“ jest zjawiskiem powtarzającym się w epokach ustrojowych przemian, wymagających decyzji. Jest reakcją ludzi, którzy w takich epokach nie chcą się decydować. W starożytności nazywała się na przykład Marcus Tullius Cicero: nie chcę być ani z Cezarem, ani z Brutusem; ten drugi go odrzucił, następcy Cezara go zlikwidowali. W początkach ery nowożytnej nazywała się w Anglii „długi parlament“: nie chcę ani absolutyzmu Stuartów, ani „prawdziwych lowellerów“ skrajnego purytanizmu, ani Cromwella: pierwsi — Stuartowie nim pogardzali, drudzy — lowellerzy — sprzymierzyli się z tym trzecim — Cromwellem — przeciw ówczesnej „kiereńszczyźnie“, ten trzeci zaś rozpędził ją z laską w ręce. W początku ery nowożytnej „kiereńszczyzna“ nazywała się żyrondą: nie chciała ani Burbonów ani Robespierre'a; pierwsi jej nienawidzili, drugiego oni — ówczesna „kiereńszczyzna“ — wysłali na szafot, by oddać rządy ówczesnym szabrownikom, którzy się wtedy nazywali Barras, czy Tallien, czy Fouché i którzy torowali drogę Napoleonowi Bonaparte. Potem przyszedł najczystszy przedstawiciel typu, Kiereński: ani carat, ani rewolucja społeczna; dla pierwszego był zdrajcą, dla drugiej humorystycznym kabotynem.

„Kiereńszczyzna“ zjawia się zawsze w sytuacjach, w których trzeba decydować: „albo-albo“, ona mówi: „ani-ani“. Brak decyzji pokrywa frazesami o „idelogiach“. Brak siły pokrywa frazesem o „myśli“. Siła bez myśli jest zawsze głupotą, ale myśl bez siły jest często blagą podszytą kabotynizmem.

2

To oni — „kiereńszczyzna“ każdej epoki przełomu — krzyczą „wolność“, ale nie chcą widzieć, że często żądają wolności dla tych, którzy chcą właśnie wolność likwidować. Krzyczą „demokracja“, ale nie widzą, że żądają równych praw demokratycznych dla tych, którzy chcą właśnie zlikwidować, przy pomocy tych praw, demokrację. Krzyczą „precz z cenzurą“ ale nie widzą, że żądają wolności od cenzury właśnie dla tych, którzy — gdyby rządzili — zlikwidowaliby wolność prasy i myśli.

3

Albowiem demokracja nie polega na tym, że wszyscy są wolni. Demokracja polega na tym, że nikt nie może odebrać wolności ludziom, którzy chcą być wolni. To nie demokracja, jeśli przypadkowa większość jednego dnia może postanowić, że od dziś jeden będzie decydował za wszystkich. To nie demokracja, jeśli przypadkowa większość jednego dnia może odebrać wolność przypadkowej mniejszości jednego dnia i wszystkim następnym generacjom. Demokracja ma takie samo prawo, by bronić się przeciw swym wrogom i likwidatorom, jak każdy inny system rządzenia — choćby ci wrogowie i likwidatorzy reprezentowali dziś większość.

4

I oto stajemy przed podstawowym zagadnieniem każdej rodzącej się demokracji: jak zachować wolność, bez której demokracja istnieć nie może, jak jednak uniemożliwić wrogom demokracji wyzyskiwanie wolności w tym celu, by w przyszłości wolność i demokrację zlikwidować.

Szczęśliwe kraje, które już nie znają słowa „reakcja“, w których podstawowe zasady wolności, deklaracje praw demokracji, nie są kwestionowane przez żadne poważne siły społeczne, w których wrogowie tych zasad są tylko humorystycznymi Mosleyami. Te kraje mogą już sobie pozwolić na to, by mówić, jak świetny teoretyk demokracji angielskiej, Harold Lasky: „Zakazy nie przekonywują nikogo. Rezultatem ich jest doprowadzenie mniejszości do aktów rozpaczy, a mas do zupełnej apatii w sprawach politycznych. Większość ludzi, którym nie pozwala się swobodnie myśleć, przestaje w ogóle myśleć. Ich bierność otacza władzę tą fałszywą atmosferą zaufania, która milczenie uważa za zgodę. Każdy rząd, którego podstawy nie są krytykowane, nie zna nigdy prawdziwych uczuć, jakie jego działalność wywołuje u obywateli. Myśl polityczna nie może się narodzić w pustce“.

Kraje jednak, w których demokracja jest jeszcze młodą, wątłą rośliną, stoją przed innym dylematem. Walka o władzę w demokracji toczy się wedle pewnych reguł, jest z tego punktu widzenia grą, a nie wzajemnym anarchicznym niszczeniem się. W grze politycznej, którą nazywamy demokracją, regułą jest prawo każdego poglądu, który zyskał większość, do objęcia władzy w państwie. Jeżeli więc jeden z graczy zapowiada, że po zyskaniu większości nie dopuści nikogo innego, albo też jednego z graczy, do zyskania większości i objęcia rządów w przyszłości — powinien sam sobie przypisać winę tego, że do gry nie zostanie dopuszczony. Gorzej, jeśli nie zapowiadając wyraźnie, że w przyszłości złamie reguły gry demokratycznej, próbuje w czasie gry fałszować. Wtedy powstaje przed demokracją dylemat: albo będzie patrzyła takim graczom na palce, by ich następnie skompromitować wobec wyborców — albo też wykluczy ich od razu.

Pierwszej metody próbowała demokracja niemiecka i zapłaciła za to drogo: fałszywy gracz objął rządy i zlikwidował nie tylko demokrację, ale w ogóle wszelkie reguły cywilizowanej gry. Drugiego rozwiązania próbowała Czechosłowacja, gdy zapowiadała, że każdy, kto „zagraża integralności państwa, jego demokratyczno-republikańskiemu ustrojowi, lub konstytucji“ będzie z gry wykluczony i pozbawiony możności ubiegania się o władzę. Demokracja szwajcarska zaś (r. 1939) ujmowała ten punkt widzenia w następujące uzasadnienie: „kto atakuje państwo i konstytucję, pozbawia się sam ochrony państwa i konstytucji i stawia się sam poza normalną ochroną prawa“.

5

Cromwell budował początki demokracji angielskiej krwią i terrorem. Terrorystyczna rewolucyjna dyktatura była dla Robespierre'a jedyną drogą ocalenia republiki i wolności. „Rewolucja jest wojną wolności przeciw nieprzyjaciołom“ — mówił, upodobniając wrogów wewnętrznych do wrogów zewnętrznych. I dodawał: „rząd konstytucyjny, normalny, dba przede wszystkim o wolność jednostki, rząd rewolucyjny o wolność publiczną... władza musi się bronić przeciw wszelkim frakcjom, które ją atakują“. Terrorem politycznym i gospodarczym podmurowywała demokracja amerykańska swe zwycięstwo nad konserwatywno-ziemiańskimi stanami południa w wojnie domowej. „Jeszcze żadnego zagadnienia walki klasowej nie rozwiązywano w historii inaczej niż przemocą“ — mówił — i odpowiednio działał — Lenin.

A równocześnie w dziejach rósł prawie zawsze mit inny. Nie Cromwell, ale bezkrwawa „sławna rewolucja“ 1688 r. uchodziła za ostateczne zwycięstwo wolności w Anglii. Nie Robespierre, ale twórcy deklaracji praw chodzą w sławie twórców demokracji francuskiej. Nie wyniszczające wrogów demokratycznego rozwoju rządy po wojnie domowej, ale Washington (w czasie wojny domowej byłby zapewne po stronie południa) i Jefferson uchodzą za ojców demokracji amerykańskiej. Lud upaja się krwią, ale nie lubi krwi i nie lubi wspomnień tego upojenia. Idzie w godzinach decydujących za przywódcą gotowym na wszystko, ale jakże często opuszcza go przedwcześnie, zmęczony jak lud francuski w dniach Thermidora.

6

Charakteryzując republikę austriacką w roku 1920, ujął Otto Bauer jej strukturę polityczno-społeczną w określeniu „równowaga sił klasowych“. Nie była ona dla niego klasowym państwem burżuazji, gdyż klasy musiały w niej dzielić władzę państwową między siebie. „Żadna klasa nie ma dość siły, by rządzić innymi klasami i dlatego wszystkie klasy dzielą między siebie i łącznie władzę państwową“ — pisał. — „Wszystkie klasy narodu mają swój udział we władzy państwowej, działalność państwa jest rzeczywiście rezultatem sił wszystkich klas narodu“.

Już w r. 1922 musiał zrewidować to określenie: okazało się, że jeśli jedna klasa ma nadal w swej dyspozycji decydujące siły gospodarcze — próbuje i próbować musi naruszyć równowagę sił klasowych. Protokół genewski (pożyczka międzynarodowa dla Austrii) był w oczach Bauera pierwszą próbą odzyskania przez burżuazję przewagi politycznej, drogą narzucenia z zewnątrz pewnych warunków funkcjonowania państwa. Dlatego powrócił on do bardziej marksistowskiej tezy: nie ma mowy o trwałości demokracji i trwałości równowagi sił klasowych, jeśli decydujące ośrodki życia gospodarczego są we władaniu jednej klasy. Z tą korektywą jego teza jest i dziś aktualna. W społeczeństwie wieloklasowym jest demokracja możliwa tylko wtedy, jeśli nie tylko każda klasa ma faktycznie udział we władzy państwowej, ale jeśli zlikwidowano również warunki, w których jedna klasa może inne pozbawić tego udziału.

7

Jak jednak zlikwidować te warunki? A raczej — czy samo upaństwowienie względnie uspołecznienie decydujących gałęzi gospodarki kapitalistycznej wystarcza dla ich zlikwidowania? Bynajmniej nie komunista, jedynie lewicowy angielski uczony, G. D. H. Cole pisał jeszcze w r. 1934: „nacjonalizacja nie jest socjalizmem, gdyż przedsiębiorstwa znacjonalizowane, w przypadku, gdy dawnym właścicielom przyznaje się odszkodowanie, mogą oznaczać jedynie administrację publiczną usług, które w istocie pozostały własnością prywatną. Przedsiębiorstwo znacjonalizowane, które płaci 5% od swego kapitału na obsługę obligacji dla wywłaszczonych, niczym się nie różni od przedsiębiorstwa eksploatowanego przez jednostki prywatne, które płaci im przeciętnie po 5% dywidendy od akcji“.

Celem wywłaszczenia przy przejściu do ustroju częściowo socjalistycznego nie jest zaspokojenie bezpośrednich potrzeb państwa, lecz złamanie, w interesie demokracji, przewagi wielkiego kapitału (cel polityczny), poddanie decydujących gałęzi życia gospodarczego kierownictwu i kontroli ze strony społeczeństwa (cel gospodarczy) i zmiana w podziale dochodu społecznego (cel społeczny). Jeśli wywłaszczony kapitalista otrzymuje za swój majątek pozycję majątkową tej samej wartości i dającą ten sam dochód, to w istocie nie nastąpi żadna zmiana w podziale dochodu społecznego, może nie nastąpić żadna zmiana w przewadze politycznej wielkiego kapitału.

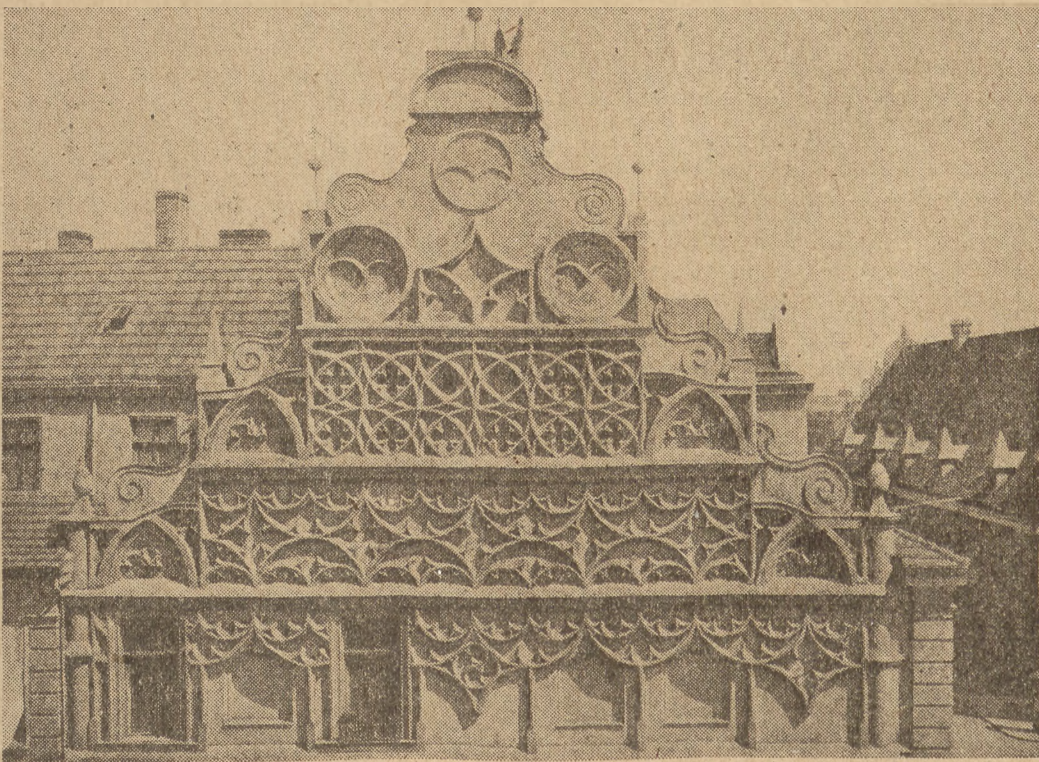
8

Reforma rolna zrealizowała cel polityczny i społeczny wywłaszczania. Na odcinku wiejskim zaszła zmiana w zakresie przewagi politycznej i podziału dochodu społecznego. Ale trzeba pamiętać o jednym. Przewrót hitlerowski w Niemczech został dokonany przy pomocy sojuszy junkrów, wielkich przemysłowców i opłacanego przez jednych i drugich demagoga — faszyzujący przewrót austriacki został dokonany przez sojusz drobnej burżuazji i mas chłopskich, które zlikwidowały współudział klasy robotniczej w rządach. Likwidacja wielkiego kapitału prywatnego w społeczeństwie wieloklasowym zmniejsza prawdopodobieństwo przewrotów antydemokratycznych, ale go zupełnie nie usuwa. Do tego potrzeba wychowania szerokich mas w duchu demokratycznym, a tego się nie robi frazesem, to się dokonuje dopiero w długim okresie praktyki demokratycznej.

9

U progu polskiej demokracji szlacheckiej stoi wielki „trybun ludu szlacheckiego“, Jan Zamoyski. Z kraju, rządzonego najpierw przez króla ze współudziałem magnatów, potem przez magnatów przy współudziale króla, uczynił kraj, w którym decydującym czynnikiem politycznym była masa szlachecka. Wprowadził nową klasę społeczną w życie polityczne. Ale na tym się zatrzymał. Był przede wszystkim politykiem klasowym. W chwilach decydujących umiał wyjść poza ciasne interesy swojej klasy. W codziennym jednak życiu państwowym nie rozumiał, że hegemonia jednej klasy społecznej nie jest — nawet w ówczesnej epoce — trwale możliwa, jeśli jest zbyt wyraźna i jeśli inne klasy nie mają zagwarantowanego pewnego minimum praw. Nie rozumiał, że przy takiej hegemonii państwo, wobec zbyt słabej podstawy wewnętrznej, nie wytrzyma długo nacisku z zewnątrz. Że nie rozumiał zagadnienia chłopskiego — to w tej epoce nie było wyjątkiem, choć przecież w sąsiedniej Szwecji miał sejmy z chłopskimi posłami. Ale nie widział także zagadnienia mieszczaństwa polskiego, choć było ono wtedy i ostre i wyraźne.

U progu demokracji drugiej Rzeczypospolitej Polskiej stoi wielki trybun ludu chłopskiego, Wincenty Witos. Ci, co czynią z niego dziś wodza i sztandar dla aktualnych haseł politycznych — pomniejszają jego rolę dziejową. Tylko z wielkim dziełem Jana Zamoyskiego można porównać dzieło życia Wincentego Witosa. Wprowadził nową klasę społeczną w życie polityczne Polski i stał się jej symbolem. Ale — jak Zamoyski — był politykiem klasowym. Umiał wznieść się na stanowisko ponadklasowe w momentach krytycznych, zewnętrznych i wewnętrznych, ale na codzień był politykiem jednej klasy. Ci, co czynią



Stargard (Starogród) na wschód od Szczecina. Szczyt jednego z mieszczańskich domów z XVI w. Interesujący przykład przenikania się renesansu, widocznego w falistych konturach attyki, z tradycyjnymi formami gotyckimi, które na Pomorzu żyły wyjątkowo długo.

z niego sztandarowego człowieka demokracji, nie czytają mów i pism Wincentego Witosa. Kompleks chłopskiej krzywdy tak się u niego zrósł ze sposobem ujmowania roli chłopa w państwie, że widział niebezpieczeństwo tej krzywdy nawet tam, gdzie jej nie było, oceniał z jej punktu widzenia rzeczy i zjawiska, niczym z nią nie związane. Niechęć do miast i niechęć do robotnika odgrywała u niego w XX wieku nieraz tę samą rolę, co w XVII wieku niechęć do „absolutum dominium".

Przybrało to tym ostrzejszą formę, że rządzący XX wieku byli mniej mądrzy od rządzących z początku XVII wieku. Jan Zamoyski poszedł w senatory i rządził państwem, rządzący XX wieku sądzili, że Nieśwież czy Ołyka reprezentują tę samą siłę polityczną co Wierzchosławice.

Przed następcami Wincentego Witosa stoi dziś najcięższe z zadań każdego ruchu politycznego w społeczeństwie wieloklasowym: jak uzgodnić interes własnej klasy z interesami innych ruchów klasowych i innych klas społecznych. Zadanie, które pierwszy socjalistyczny premier Francji, Leon Blum, ujął w r. 1936 w lapidarne określenie: „nie jestem socjalistycznym mężem stanu, jestem mężem stanu socjalistą". Potrzebujemy nie chłopskich mężów stanu, ale mężów stanu chłopów. Fakt, że następcy Jana Zamoyskiego nie rozumieli podobnej swej funkcji w XVII w., kosztował nas bardzo wiele.

Konstanty Grzybowski

JÓZEF MIŁOBĘDZKI

WIERSZE MARYNARZA

O Wiśle srebrnej

Po wielkich pływam wodach, po morzach dalekich,
Ale czasem ich urok spływa jakoś po mnie.
Zakochałem się w rzece, chciałbym wrócić do rzeki,
Do rzeki, która płynie ku mnie falą wspomnień.

Wbiegam na cichą plażę — tak, to Wisła płynie.
Ach, upaść tam i leżeć w srebrnym, ciepłym piasku
I ujrzeć całe życie na barwnym obrazku,
W falistych światłocieniach i szeptach w wiklinie.

Rozdmuchać lata zapach i w lato się wgarnąć,
Niech praży ciało słońcem i niech w rękach płonie.
A gdy uśnie na piasku — zanurzeć weń dłonie
I sypać pełną garścią naokół, jak ziarno.

A gdy noc już znad rzeki resztki słońca przegna
I welon mgły wieczornej przysłoni ją pięknie,
Warszawa stanie za mną, nad Wisłą uklęknie
I wieżami kościołów polską wieś przeżegna.

Po wielkich pływam wodach i dumam i myślę...
Tęsknoty mej nie zmogą mórz dalekich czary,
I z wojny, jak ze szkoły, chciałbym zwiać na wagary
I poddać się tej rzece. I kochać się w Wiśle.

Mój dom

Mój dom rodzinny!
Środek świata.
A przecież był jak każdy inny:
Dach z cegły. W ogródku sałata.

Nie, opisać go nie potrafię.
Nie ma słów na taki poemat.
Takbym chciał mieć chociaż jego fotografię!
A nie mam.

Pokoje miał zawsze pełne słońca,
A okna — z widokiem na cały mój światek.
Mogłem bawić się tam bez końca
(w „złodziei i w policjantów" lub w statek).

I umiałem siadywać przed progiem
W tęsknej, polskiej zadumie
I rozmawiać sobie z samym panem Bogiem.
Szkoda, że dziś już nie umiem.

Ale dawno już nie jestem dzieckiem,
Więc nie mogę płakać po nim.

O piachy, szare piachy mazowieckie!
O cudzie matczynych dłoni!

Dziewczyna z koszem oliwek

Oliwki, morele i arbuzy
Śmiejąc się, gnieciemy na twych piersiach,
Przez dziury w kieszeniach mej bluzy
Pali mnie twoja ojczyzna, Persja.

Podnieś palec środkowy twej stopy,
Przytknij doń ust ciepłych wargę dolną —
Biodrami spłyną włosy, jak potopy,
I plecami, jak pachnącą drogą polną.

Nie kupiłem cię na jarmarku wielkim,
Lecz zerwałem cię jak liść zielono-złoty,
Jak rozgryzione, słodkie orzeszki,
Które ssie pomarańczowy motyl.

Nieskończona dal oceanu

Nieskończona dal oceanu,
W deseniach chmur falująca,
Pocieniowana niebem —
— jedyna moja pociecha.

Nieskończona dal oceanu,
Jak nieskończona tęsknota
Zamyka się horyzontem,
Do którego nie można dojechać.

Skok z trampoliny

Wchodzisz na trampolinę
i czujesz się jak przed ślubem —
Gdyby nie było ci wstyd, drżałbyś jak liść.

Z wysoka wszystko jest inne
I czyha na twą zgubę,
Myślisz: — A może lepiej nie trzeba mi było iść?

Lecz wkrótce strach odlatuje
I stajesz się pewien siebie,
Wolę swą mierzysz na desce, co gnie się pod tobą
i drży.

A w dole morze faluje,
A w górze jest błękit na niebie,
A między morzem i niebem zawisłeś i czyhasz ty.

Aż nogi same się prężą
I cofasz się kilka kroków. —
To tupot twych bosych stóp wybuchnął na desce
i zgasł.

O prawdy, nieznane księżom,
Wzgardzone przez proroków,
Że ciała łuk wyprężony zamyka przestrzeń i czas!

Wybuchem, wyrzutem w przestrzeń,
Łukiem każdego mięśnia,
Płonące wargi rozwiera pędu palący głód,

Aż stajesz się śmiechem i dreszczem
I spadasz pelen szczęścia
W chłodne ramiona wody — pieszczoty gorących
biódr.

JAN REYCHMAN

Stan i potrzeby wiedzy o powstaniu chochołowskim

Powstanie chochołowskie, ten tak ciekawy epizod w dziejach zbiorowego porywu chłopskiego w walkach o niepodległość Polski, nie doczekało się jeszcze ani należytego opracowania, ani nawet sumiennego zbadania źródeł. Bo nie można za wystarczającą historię powstania uważać ani ustępu, który poruszeniu na Podhalu poświęcił w swej książce o 1846 roku („Geschichte des polnischen Aufstandes vom Jahre 1846", Wiedeń, 1867) Freiherr Moritz v. Sala, ani szkiców o powstaniu, opracowanych przez obu Eliaszów: ojca Walerego („Kartka z dziejów Podtatrza" w poznańskim „Dwutygodniku dla kobiet", 1884, IV) i syna Stanisława („Powstanie chochołowskie", Lwów, 1904), ani artykuliku Fr. Banasiaka („Poruseństwo chochołowskie", „Polska Zbrojna", 1933, 22—25 luty). Dochodzi do tego trochę wydanych pamiętników czy wspomnień, ustępy u Limanowskiego czy Schnürr-Pepłowskiego — i to wszystko. Obraz jest to więc urywkowy, niepełny i nie dający prawdziwego obrazu „poruseństwa". Prawdziwy, pogłębiony obraz powstania dałoby dopiero pełne wyzyskanie całego aparatu naukowego, a więc wszystkich źródeł do powstania.

Jak się przedstawia zagadnienie źródeł do powstania chochołowskiego? Do jednej grupy należałyby tu źródła ze strony polskiej, a więc autentyczne pamiętniki uczestników oraz zapisane czy zaprotokołowane wspomnienia spisane już w późniejszych czasach. Z pamiętników wydane zostały pamiętniki jednego z przywódców ruchu J. K. Andrusiewicza i to tak jego własne pamiętniki, które u schyłku XIX w. znajdowały się w posiadaniu A. Skąpskiego w Nowym Sączu, jak i wspomnienia podane Z. Kaczkowskiemu i przez niego spisane, znajdujące się wówczas w Bibliotece Rapperswilskiej (kopia była w „Ossolineum"). Oba wydał St. E. Radzikowski we wspomnianej książce o powstaniu chochołowskim. Załączył tam jeszcze szereg listów jednego z uczestników powstania J. Zycha, opisującego również powstanie. Pamiętnik innego znów uczestnika, Józefa Pilcha, wydał z rękopisu, użyczonego przez znanego organizatora ruchu ludowego Bolesława Wysłoucha, Feliks Gwiżdż w dodatku literackim „Kuriera Lwowskiego" („Na ziemi naszej", nr. 10—12 z 1909).

Jeśli chodzi o zebranie danych ustnych od ludzi, którzy brali udział w powstaniu, to interesował się nimi Walery Eliasz, malarz, taternik i autor przewodników po Tatrach. Eliasz malując w latach siedemdziesiątych kościół w Chochołowie, zebrał od dawnych uczestników powstania sporo wiadomości, które wyzyskał w swym szkicu; zostawił też notatkę, która wraz z materiałami jego syna Stanisława znajduje się dziś w zbiorach W. Paryskiego, zdeponowanych w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem. I potem niejednokrotnie interesowano się ustną tradycją o powstaniu; jeszcze po Eliaszu znany miłośnik góralszczyzny, dr. Dembowski, zbierał od żyjących jeszcze wówczas uczestników powstania dane, które zostawił w paru luźnych, nieraz na marginesie jakiejś koperty nakreślonych notatkach, znajdujących się dziś w Muzeum Tatrzańskim. Niewątpliwie zadaniem przyszłej instytucji ześrodkowującej i organizującej badania naukowe na Podhalu — a taka instytucja przy Muzeum Tatrzańskim powinna jak najszybciej powstać — będzie wszystkie te przekazy źródłowe i wspomnienia posegregować i poddać krytycznej analizie.

Do drugiej grupy należałyby źródła urzędowe austriackie; na tym polu poza Salą mało zrobiono a niechybnie przy szczegółowszych poszukiwaniach sporo by się jeszcze znalazło po protokołach, aktach sądowych, doniesieniach szpiegowskich, w aktach rozmaitych urzędów ze Lwowa czy Wiednia.

Ale powstanie chochołowskie nie wyraża się samym tylko epizodem bojowym, tymi „les trois glorieuses" z 21, 22, 23 lutego 1846. Te trzy dni historyczne były tylko epilogiem, konsekwencją, ostatnim aktem pewnego stanu, pewnych nastrojów, pewnej akcji. O ile sam przebieg powstania mniej więcej znamy, o ile potrafimy go odtworzyć (poza drobnymi szczegółami wszystkie źródła mniej więcej są zgodne), o tyle, gdy chodzi o tło powstania, i to tak tło społeczno-gospodarcze jak i podłoże organizacyjne, jesteśmy w dżungli prawie że nie przebytej. Czy możemy dziś zdać sprawę, jakie czynniki działały na postawę chochołowskiego chłopstwa? Należałoby bliżej zbadać ich ówczesny stan gospodarczy, jak wyglądało zagadnienie poddaństwa, co leżało u podstaw sporów chochołowian z baronem Borowskim? Wszak stosunki te były tego rodzaju, że raz już — w latach trzydziestych — doprowadziły do otwartego buntu, buntu, który władze austriackie łączyły z jakimiś współczesnymi ruchami politycznymi przeciw Moskalom, a który krwawo był stłumiony przez żandarmerię. Tak samo wyjaśnić trzeba tło antagonizmu chochołowian czy cichowian i Czarnego Dunajca, antagonizmu wyrażonego w znanej po dziś dzień piosence; antagonizm ten doprowadził do tego, że Czarny Dunajec znalazł się w 1846 r. po stronie reakcji metternichowskiej, podczas gdy chochołowianie podnieśli sztandar narodowej rebelii. W związku z tym winno się zbadać i stosunki po wsiach, które bynajmniej nie były wtedy obce hasłom rabacji. Albowiem prawda o patriotycznym porywie górali odnosi się tylko do Skalnego Podhala z Chochołowem; wsie na Nowotarszczyźnie wzięły udział w napadaniu i rabowaniu dworów. Tak samo i na Skalnym Podhalu obok bohaterstwa były jak i wszędzie wypadki załamania czy tchórzostwa, obok patriotyzmu, nie brak było i zaprzaństwa. Górale, którzy z Poronina mieli iść do powstania, porzucili broń i uciekli. Nie brakło też wypadków denuncjacji. „Wielu z góralstwa" — mówi zapiska W. Eliasza — „wydawało uczestników ruchu z tchórzostwa lub dla ocalenia siebie".

Przedstawienie tego podłoża, na które padło nasienie propagandy rewolucyjnej i wyjaśnienie przez to wielu do dziś dnia niejasnych epizodów „poruseństwa", rozwiązanie wielu jego zagadek — to jest zadanie przyszłego historyka.

Ale tak samo trzeba wyjaśnić — co może jest najtrudniejsze — tło organizacyjne powstania. Niewątpliwie natrafimy tu na duże trudności. Wszelkie badanie dziejów spisków czy konspiracyj zawsze jest utrudnione, gdyż ślady po nich celowo są zacierane, akty archiwalne z fałszywych zeznań lub zbyt gorliwych doniesień szpiegowskich nie oddają prawdziwego oblicza sieci organizacyjnej, wszystko jest zawikłane, mylne i zaciemnione. A niewątpliwie rola organizacji jest również doniosła. Tło społeczno-gospodarcze wyjaśnić może powstawanie nastrojów — nie może nam tłumaczyć mechanizmu samego wybuchu. Wybuch był dziełem istniejącej organizacji. Ludzie, którzy ją założyli, byli przecież ogniwami jakiejś wielkiej sieci, sieci o szerokim zasięgu, związanej z kołami demokratycznymi w kraju i za granicą, z Towarzystwem Demokratycznym, ze Stowarzyszeniem Ludu Polskiego.

Zagadnienie początków propagandy demokratyczno-rewolucyjnej na Podhalu w pierwszej połowie XIX wieku uszło jakoś uwadze historyków. A przecież temat to obszerny i nadzwyczaj ciekawy. Wiąże się on z pobytem Goszczyńskiego na Podhalu, który bynajmniej nie dla samych tylko przeżyć artystycznych tak długo tu przebywał; poza szukaniem natchnienia do „Sobótki" znalazł tu sporo innych zajęć. Ciekawa jest też postać jego gospodarza, b. uczestnika powstania listopadowego, spiskowca i demokraty, Adolfa Tetmajera, o którym Giller mówi, że „zakładał on wśród górali stowarzyszenie, którego członkowie nosili na znak krzyżyki zakupione w Kalwarii Zebrzydowskiej" (III, 1870, 464). W ogóle ówczesna propaganda wykorzystywała momenty religijne, posługiwała się obrazkami świętymi, pieśniami itd. Trzeba również śledzić rolę takich agentów organizacji, jak b. powstańca z 1831 r. J. S. (w zapiskach Dembowskiego: Dąbrowski-Szymański), który mieszkał wśród górali i niby chodząc na żebry szerzył propagandę rewolucyjną; trzeba wreszcie oświetlić niezwykle ciekawą postać samego Goslara, emisariusza i jednego z głównych organizatorów spisku na Podhalu.

A ciekawa osobistość Andrusikiewicza, typowego przedstawiciela ówczesnej drobnej inteligencji wiejskiej, oświatowca i organizatora, całkowicie oddanego sprawie wolności i demokracji, znana tylko ze wspomnień St. E. Radzikowskiego (w jego książce o powstaniu) i Tyrowicza (w „Polskim Słowniku Biograficznym" PAU) czyż nie zasługuje na specjalną monografię? A osobliwa figura ks. Głowackiego, „Świątopełka", wikariusza z Poronina, polihistora, bibliofila, slawisty mówiącego wszystkimi językami słowiańskimi, korespondującego z wielkimi uczonymi słowiańskimi? Ta rola niższego kleru (obok ks. Głowackiego — ks. Kmietowicz, ks. Janiczak z Szaflar) w powstaniu też zasługuje na szczególną uwagę, tak samo, jak udział niższych urzędników celnych (Leblocki) czy leśnych, co razem uzmysłowi nam społeczne oblicze powstania — odruchu chłopów, niższego kleru, drobnych oficjalistów, małej inteligencji wiejskiej. Trzeba więc dotrzeć do wielu źródeł akcji konspiracyjnej, protokołów, zapisek, czasem zeznań szpiegowskich, akt sądowych itp.

Wreszcie poza tłem, poza opracowaniem faktury wypadków, jeszcze jedną ważną lukę należy wypełnić — opracowanie epilogu, konsekwencji i skutków „poruseństwa". Epilog — to męczeńska droga uczestników ruchu po wszystkich kazamatach austriackich, z Czarnego Dunajca do Nowego Targu, do Nowego Sącza, Tarnowa, Lwowa, Krakowa i Grajgóry, droga stanowiąca jedną z kart martyrologii polskiej. Tu już jest nieco więcej źródeł; obok samych górali sporo dorzucili i inni ówcześni więźniowie Grajgóry (Mułkowski, Bogdański, Czaplicki); Czesi dorzucili też coś niecoś do dziejów morawskiej kazamaty. Epilogu tego nie można pomijać milczeniem. Utarło się bowiem niesłuszne przekonanie o łagodnych metodach rządów habsburskich w Polsce, o ich miękkim wobec Polaków postępowaniu w porównaniu z innymi zaborcami. Tak było może po 1867 r. Ale jeśli chodzi o rok 1846, to warto by jeszcze dziś ogłosić opisy kaźni, tortur, wyrafinowanych metod znęcania się nad nieszczęsnymi uczestnikami chochołowskiego ruchu, aby zrozumieć, że duch germański przejawiał się zawsze tak samo, że „łagodna" ówczesna procedura śledcza czy sądowa w zupełności dorównywała współczesnym metodom hitlerowskim. Zresztą nawet jakiś bezmyślny chaos upodabniał hitlerowskie metody do tamtych. „Niektórzy" — pisze w swej zapisce Eliasz — „co całą kampanię chochołowską odbyli i dobrze Niemcom skóry natrzepali, po 11 miesiącach lub po roku popowracali wolni, a niektórzy, co tylko byli wtedy w Chochołowie. skazani byli na długie lata twierdzy".

Wreszcie do skutków powstania należy też i jego tradycja. To znów osobny rozdział do odrobienia. Zbrojny poryw ludu góralskiego wycisnął swe piętno na tradycji całego Podhala, stał się składową częścią zbiorowej świadomości ludu góralskiego, źródłem, skąd czerpał on swe siły w najgorszych chwilach narodowych klęsk czy upadków. Wystarczy wspomnieć o wybitnie antyaustriackim obchodzie rocznicy chochołowskiej w Chochołowie w r. 1913, o wpływie wspomnień 1846 r. na — śmieszną może w wykonaniu, ale piękną w założeniu — koncepcję „konfederacji chochołowskiej" Stanisława Eliasza Radzikowskiego z 1919 r., o echach w literaturze (Tetmajera „Za sycko", Pawłowskiego „Kurniawa") czy malarstwie. Może i ten oddziałek Obrony Narodowej, który na moście chochołowskim przez parę godzin wytrzymywał w 1939 r. natarcie niemieckich wojsk pancernych, siłę do wytrwania czerpał też ze świetlanych wspomnień o bohaterskim porywie sprzed stu laty? Przyszli historycy mają piękne pole do popisu.

Jan Reychman

MARIA JAROCHOWSKA

NIEMIECKI DZIEŃ*)

Pamięci profesora Aleksandra Oszackiego

Pierwszy Niemiec miał zabandażowaną całą głowę wraz z oczami. Żółtawa biel bandaża podkreślona była wąską kreską sinawych ust. Wyglądał jak kukiełka z teatru marionetek, której roztargniony malarz namalował tylko usta, zapomniawszy o reszcie rysów Pojękiwał cicho i kiedy dr Maron, pewny siebie Poznaniak, przemówił do niego donośnie po niemiecku, myślał, że się znajduje w niemieckim szpitalu. Po zdjęciu bandaża okazało się, że mimo skóry zdartej z czaszki, oczy miał nienaruszone. Z jego opowiadania wynikało, że młodziutki powstaniec, który go zranił, przerażony tą oskalpowaną własnym granatem głową, zabandażował mu z troskliwą nieudolnością całą czaszkę wraz z oczodołami, jak gdyby nie mógł znieść widoku tej czerwonokrwistej siekaniny w miejscu włosów.

Po tym pierwszym zaczęto znosić rannych Niemców jednego po drugim. Były to wszystko stare chłopy z pułku bawarskiego atakującego Mokotów od strony Służewa. Wyczulone ucho sanitariuszki Urszuli poznawało — zanim się jeszcze otwarły drzwi z korytarza na salę opatrunkową — kogo niosą. Cywilnego Polaka, żołnierza-powstańca, czy Niemca Razem z cywilnym szły tłumione szlochy rodziny. Przy powstańcach była głucha cisza. Przy Niemcach niespokojnie podniecone szepty całej prawie obsady szpitalnej kotłowały się za drzwiami długo jeszcze po złożeniu rannego na stole opatrunkowym.

Drugi z kolei Niemiec miał fatalnie strzaskane obie nogi. Na przemian wył z bólu, albo płakał ogromnymi łzami, które spływając ciągle jednym i tym samym łożyskiem, utworzonym przez wgłębienie munduru, gromadziły się niby małe gorzkie jeziorko w przypadkowej fałdzie pod obojczykiem. Kości podudzia przebiwszy skórę sterczały groźnie ku górze, a oderwane obie stopy dyndały popod nimi, zawieszone tylko na płatach skóry, nagle bezsensowne w swej niepotrzebności. Siwiejącymi włosami i wypukłym czołem przypomniał siostrze Urszuli jej pięknego ojczyma. Tego jedynego na świecie człowieka, do którego potrafiła czuć nienawiść i nawet wydawało jej się, że mogłaby go zabić, gdy zaciskając czerwone wargi, bił jej matkę. I teraz niespodziewanie siostra Urszula przejęta męką tego obcego człowieka ze zmiażdżonymi nogami przebaczyła swemu odległemu ojczymowi. Osobliwym skojarzeniem — z powodu jakiegoś nieokreślonego, a wspólnego tym dwom mężczyznom grymasu twarzy uległa nieprzepartemu złudzeniu, że ma do czynienia z jednym i tym samym człowiekiem. I wobec tych krwawych stóp wiszących strasznie, a zarazem jak gdyby komicznie — stały się nieważne wszystkie lata zatrute brutalnością ojczyma, wszystkie rozdzierające cierpienia, którymi hojnie obdzielał matkę i ją. Wśród tłumu obcych ludzi naokoło niej ten dotychczas najbardziej znienawidzony ojczym stał się najbliższym przez tę okropną mękę, która w gruncie rzeczy wcale go nie dotyczyła.

— Niech mu siostra da morfiny — powiedział dr Maron.

— Kiedy on ma bardzo marne tętno.

— No to niech cierpi.

Bez chwili zastanowienia siostra Urszula wstrzyknęła rannemu Niemcowi swoją prywatną ampułkę cybalginy, ostatnią z przechowywanych dotąd zapobiegliwie i po sknersku na wypadek jakichś cierpień ponad miarę.

Ponad miarę cierpiał następny Niemiec z miednicą strzaskaną postrzałem. Musiał długo czekać w korytarzu na noszach, bo stół opatrunkowy zajęty był przez jego poprzednika. Pot lał mu się z czoła, dyszał z bólu i położony wreszcie na stole natychmiast skonał, nie doczekawszy się nawet zdjęcia prowizorycznego opatrunku. Długo po śmierci zachował krwisto-czerstwy kolor twarzy, a fałdy jego tłustego karku zdawały się drżeć jeszcze od tłumionych jęków.

Ten dzień nazywano potem w szpitalu dniem niemieckim, bo na noszach, zamiast codziennych łachmanów powstańczych, znoszono bezustannie zielonoszare mundury niemieckie, okrywające dobrze wypasione ciała. Były to wszystko przypadki ciężkie. Rany szarpane i śmiertelne.

Dzień niemiecki tym się też różnił od innych, że był wyjątkowo spokojny. Po rannym ataku już ani jednego nalotu, ani jednego natarcia.

Czwartemu Niemcowi granat rozwalił kolano zamieniając je w krwawą miazgę, wymieszaną z kawałkami chrząstek i kości Szczerbate usta pod czarnym wąsem w końskiej twarzy powtarzały bezustannie gorączkowe pytanie: „Ist mein Fuss kaput?“ Jego głos był tak monotonny, że w brzęczeniu rozmów i pośpiechu ciężkiego opatrunku nie docierał do świadomości obecnych. Dopiero kiedy Niemiec rozstrojony i osłabły z bólu nie panując nad sobą ryknął histerycznie po raz ostatni: „Ist mein Fuss kaput?“ — nagle obudzony dr Maron odpowiedział z wahaniem, że tak, że z nogi już nic nie będzie. Niemiec uspokoił się natychmiast, jak gdyby to zapewnienie, rozwiązując pomyślnie całą sprawę, przyniosło mu ukojenie.

Jeszcze się nie skończył korowód niemieckich rannych, kiedy już można było wyczuć w atmosferze szpitala ferment wywołany przez samą ich obecność. Pierwszy Niemiec był jeszcze tylko sensacją, naokoło której skupiali się wszyscy. Ostatni był już problemem, a między nimi mieściła się cała skala spraw nienawiści i spraw miłosierdzia, spraw cierpienia i spraw śmierci. Przy pierwszym odczucia były jeszcze u wszystkich mniej więcej podobne. Więc ochota przyjrzenia się temu pokonanemu wrogowi. Więc tryumf, że to po raz pierwszy już nie pan życia i śmierci, ale pokorny jeniec. Więc duma i czule połechtana miłość własna. Na tych wszystkich latach poniżenia wyrosła chęć „popisania się“ przed Niemcem, konieczność podkreślenia przed nim swej wyższości. Wszystkie te uczucia podobne trochę do wzruszeń teatralnych i stanowiące początkowo jak gdyby wspólne dobro całego personelu, z upływem godzin, w miarę przybywających coraz nowych niemieckich twarzy — puchły, nabierały wagi, różnicowały się w najdelikatniejsze odcienie. Istota nienawiści do Niemców, nienawiści narastającej z roku na rok, nienawiści tłumionej głęboko ze wściekłością, to wszystko — zdawałoby się — zupełnie proste dawniej, obecnie komplikowało się niespodziewanie.

Jeszcze położenie tych, którzy nie mieli stale bezpośredniego kontaktu z rannymi, było łatwiejsze. Sanitariusze, którzy ich przynieśli, lekarze, którzy zrobili opatrunek, kucharki, które dla nich gotowały, ci wszyscy ochłonęli prędko po pierwszym wrażeniu krwawiących kikutów nóg, czy wypaproszonych brzuchów, widoków nakazujących myśleć przede wszystkim o nieszczęśliwym człowieku, a potem o Niemcu. Nie mając ich jednak stale przed oczami, mogli spokojnie oddzielić samych ludzi od ich cierpień i nienawidzieć po dawnemu, po prostu i bez kompromisu.

Gorzej miała się sprawa z pielęgniarkami, które pełniły przy nich dyżury. Niemca, który zabija, Niemca, który katuje, nienawidzi się instynktownie. Trudniej jest objąć tą nienawiścią wszystkich Niemców, bo czasem trzeba się obronić przed myślą: „że może ten właśnie nie jest winny“. Ale już bardzo trudno jest nienawidzieć kogoś, kto wymiotuje krwawo własnymi kiszkami, kto postrzelony w płuco dusi się, kto z rozszerzonymi ze strachu źrenicami kona z upływu krwi, za słaby, aby się poruszyć.

Pielęgniarkom, które widziały, że męki i śmierć niemiecka są zupełnie takie same jak konanie polskie, trudno było wyznaczyć w każdym z tych Niemców granicę między cierpiącym człowiekiem a znienawidzonym wrogiem. Wydawało się to równie niemożliwe jak rozkrojenie własnego serca na dwie połowy, z których jedna nienawidzi, druga czuje litość. W decydującej chwili swego życia, w chwili własnej śmierci Polacy i Niemcy stawali się do siebie zadziwiająco podobni, niby noworodki, jak gdyby więzy człowieczeństwa łączyły ludzkość najsilniej w momencie urodzenia i w momencie zgonu.

Całe społeczeństwo szpitalne, żyjące zawsze w napięciu o temperaturze kilkanaście stopni Celsiusza wyższej niż każde inne środowisko, napięciu jakżeż sprzyjającym starciom i niesnaskom, podzieliło się teraz zdecydowanie na dwa obozy. Linią podziału był stosunek do rannych Niemców. Sprawa pozornie upraszczała się do dwóch zarzutów ciskanych sobie wzajemnie. Jedni byli zdrajcami, bo współczuli Niemcom. Drudzy byli nieludzcy, bo nie mieli miłosierdzia. Ale w gruncie rzeczy działo się tutaj coś więcej. To był znany konflikt między odwiecznymi, a zawsze nowymi problemami ludzkości. Kłębił się, zaplatał i rozplatał powikłany węzeł poglądów, namiętności i wierzeń. Pojęcia dobra i zła, rozumu i uczucia, dumy i pokory, egoizmu i wyrzeczenia.

Ostatni z przyniesionych Niemców był kapitanem. Jego bardzo długie nogi wystawały poza ostatni szczebel drabinki ogrodowej, prowizorycznych noszy powstańczych, a blada twarz i głęboko osadzone oczy kontrastowały dziwnie z ich jaskrawo zielonym lakierem. Drabinka ta przywodziła uporczywie na myśl raczej ruchliwego ogrodniczka, który stojąc na niej nadaje olbrzymim sekatorem wymyślne kształty drzewom w parku, gwiżdżąc przy tym wesoło — niżby mogła się kojarzyć z tą ponurą i milczącą postacią. Bo ranny milczał i nie poruszając głową, uważnie rozglądał się dookoła ciemnymi źrenicami bez blasku. Był przeciwieństwem innych Niemców, którzy jeśli nie płakali, czy nie krzyczeli z bólu, zapewniali gorliwie powstańców o swej niechęci do reżimu i Hitlera, o przyjacielskich uczuciach dla walczących Polaków.

Dyżur lekarski miał wtedy dr Hazia, młodziutki internista. Chirurgia była dla niego tajemniczym światem nieznanych sztuczek kuglarskich, a nawet na terenie swojej ukochanej interny czuł się często jak student, który nie może sobie przypomnieć jakiejś formuły na egzaminie. Zaaferowany i niepewny oglądał malutką rankę po prawej stronie pępka na śniadym i wpadniętym brzuchu niemieckiego oficera. Próbował sondować. Wyszczerbiony szpikulec natrafił na opór. Namyślał się, skubał klapę za szerokiego kitla, wreszcie z rozjaśniona twarzą zadecydował, że ranka jest powierzchowna, po prostu od rikoszetu jakiejś malutkiej części pocisku o osłabionej już sile uderzenia. Niemiec nie zwracał najmniejszej uwagi na zabiegi doktora, jak gdyby tyczyły one nie jego, ale kogoś zupełnie obcego. Badawcze jego oczy, omijając obojętnie postaci ludzkie, przesuwały się uważnie po wszystkich sprzętach prowizorycznej i ubogiej sali opatrunkowej. Wreszcie zatrzymały się dłużej na srebrem lśniącym pudle z narzędziami chirurgicznymi. Niespodziewanie przemówił opanowanym głosem: „Proszę mi pokazać narzędzia“. Słowa te zabrzmiały jak rozkaz w popołudniowej ciszy.

Dr Hazia nie rozumiał po niemiecku. Przerwawszy zalepianie ranki różową wstążką leukoplastu popatrzył pytająco dookoła. Siostra Urszula, absolwentka szkoły pielęgniarskiej we Wiedniu, mechanicznie, bez słowa otworzyła pudło i podsunęła je przed oczy Niemca. Wzrok jego długo szperał między skąpymi narzędziami. Nie znalazłszy tego czego szukał, upewnił się jeszcze:

— To wszystko?

— Tak, wszystko.

— Nie macie haków laparatomijnych*)?

— Nie mamy.

— Jakie operacje robicie?

— Tylko najprostsze — czasem amputacje.

— Siostra jest Niemką? — Siostra Urszula prawie czekała na to pytanie stawiane jej prędzej czy później w rozmowie przez każdego Niemca.

— Nie.

— Co robicie z ranami brzusznymi?

Siostra Urszula jakoś nie mogła wykrztusić tego, co się samo przez się nasuwało, że ranni w brzuch pozbawieni w ich szpitalu możliwości operacji są zasadniczo skazani na śmierć. Powiedziała tylko:

— Nic z nimi nie możemy robić. Gdy niemieccy żołnierze podpalili nasz szpital w Alejach Ujazdowskich, nie pozwolili nam nic wynieść. Spaliło się kilka szaf najnowocześniejszych szwedzkich narzędzi, a materiałów opatrunkowych i lekarstw za miliony złotych. Starczyłoby na cały rok. Ewakuowani tutaj, posiadamy tylko resztki zardzewiałych narzędzi pozbierane przygodnie u lekarzy.

— A środki uśmierzające macie?

— Z tym jeszcze najlepiej, bo jeden lekarz już tu na Mokotowie dał nam całą skrzynkę. Ale innych lekarstw ani trochę. Nie mamy surowic, nie mamy czym operować, nie mamy czym opatrywać, nic nie mamy!

Zadyszanym słowom siostry Urszuli odpowiedział spokojnie pewny siebie niemiecki głos:

— Zasłużyliście na to. Dlaczego rozpoczęliście powstanie? Naród niemiecki jest surowy, ale zawsze sprawiedliwy.

Zrobiło się bardzo cicho. Woda w sterylizatorku ze strzykawkami, stojącym na maszynce spirytusowej, doszedłszy do momentu wrzenia zaczęła gwizdać, syczeć i niespokojnie bulgotać. Pomidory dojrzewające w popołudniowym skwarze tuż pod ścianami sali operacyjnej, opadając z krzaków na popękaną ziemię plaskały miękko i sennie. Podmuch ciepłego wiatru, niosąc ze sobą woń grochówki z pobliskiej kuchni szpitalnej, wpadł na salę i poruszył spocone kosmyki włosów na czole Niemca. Na szybie bzykała zdychająca mucha, tłusta trupiarka. Z ogródka przed szpitalem dolatywały głosy przekomarzań harcerek, zwijających bandaże przy pomocy powstańca-ozdrowieńca, Jasia bez nogi. Siostra Urszula poczuła, jak bardzo nienawidzi tego Niemca.

Nagle gdzieś bliziutko buchnął strzał karabinowy i wszyscy jak gdyby się obudzili z nieprzytomnego zamyślenia. Zawstydzeni swoim nieokreślonym zapatrzeniem stali się teraz podwójnie ruchliwi Pielęgniarki rzuciły się do strzykawek, dr Hazia zawołał sanitariuszy,

*) Opowiadanie wyróżnione na konkursie Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie.

*) Haki laparatomijne czyli powłokowe — narzędzia chirurgiczne niezbędne przy operacjach brzusznych.

MALARSTWO FRANCUSKIE



PAUL CÉZANNE (1837—1906) Człowiek z fajką

aby zabrali rannego na salę chorych. Wtedy Niemiec z niespodziewanym wysiłkiem, pokrywającym mu twarz krwawym wypiekiem, obrócił się na bok i równie obojętnie jak przed tym wskazał w milczeniu na swoje plecy.

Siostra Urszula stojąc w nogach stołu opatrunkowego, twarz w twarz z rannym, zobaczyła tylko zmięty kawał prześcieradła, na którym leżał Niemiec. Był tak przesiąknięty krwią, że nasuwał myśl o jakimś makabrycznym, krwawym praniu. Ale patrząc na powieki dr Hazi mrugające gwałtownie pod szkłami okularów, zrozumiała od razu, o co chodzi: ranka z przodu to był wlot kuli. Z tyłu znajdował się wielki wylot. Oficer z przestrzelonymi kiszkami — skoro niemożliwa była operacja — niewiele mógł stracić lub zyskać w tym swoim życiu, ograniczonym już teraz na pewno do jeszcze tylko paru wschodów i zachodów słońca.

Powiedział łagodniejszym trochę tonem do dr Hazi:

— Pan jest pewno internistą. Ja sam jestem chirurgiem. Więc wiem na co mogę liczyć, a raczej na co liczyć już nie mogę.

Wszystkich Niemców umieszczono na najlepszej sali. Leżeli jeden obok drugiego nawet na łóżkach, nawet wszyscy, prócz dwóch, mieli poduszki. Wymagały tego względy prestiżowe powstańczego szpitala. Powstańcy chcieli dowieść, że nie są bandytami, ale regularnym wojskiem postępującym według zasad prawa wojennego i wymagającym względem siebie takiego samego traktowania.

Sala, na której leżeli Niemcy, przyciągała myśli całego szpitala. Istniała jak gdyby na innym poziomie, wyodrębniona ostro od reszty sal, zawieszona w jakichś specjalnie odmiennych wymiarach. Wszyscy Polacy, ranni czy zdrowi — czymkolwiek byliby zajęci — gdzieś w tyle mózgu, na dnie wszystkich myśli czuli ucisk uporczywej świadomości, że tutaj obok leżą Niemcy. Niemcy bezbronni i unieszkodliwieni. I ci, na wpół tego świadomi, skupiali na sobie namiętności całego szpitala, które prawie że zmaterializowane przez swoją intensywność wisiały nad łóżkami rannych niby gradowa chmura ciężarna elektrycznością.

Wśród beżowej masy papierowych sienników zalegających podłogę wyrastało siedem łóżek o tak różnorodnych formach, jak różne były ciała na nich leżące, jak rozmaite były rany, które złączyły ich tutaj w jedną całość. Stała się ona symbolem ujarzmionej niemieckości — problemem nienawiści.

Cztery łóżka były żelazne. Białe z prętami, albo pomalowane na brunatny kolor ekskrementów, a jedno nawet zielonkawe o blaszanych bokach z wymalowanym pseudoludowym ornamentem jaskrawych parzenic. Inne łóżko było proste i drewniane, jakie w komórkach przy kuchni przeznacza się dla służących. Był też nowoczesny olbrzymi tapczan, skomplikowany grat politurowany na orzechowo, przerażający mnóstwem przybudówek i wysuwanych blatów. Z tyłu obszerna półka na książki, na której tułał się granatowo oprawny drugi tom „Popiołów" z wytłaczanym złotym napisem. Jakby na ironię na tym właśnie tapczanie leżał Niemiec, któremu odjęto obie nogi. Pomniejszony przez to, bardziej pozostałość człowieka niż sam człowiek, zanikał na powierzchni szerokich materaców, sprawiając wrażenie czegoś przejściowego, czegoś, co będzie jeszcze uzupełnione i dokończone. Było wreszcie empirowe łóżko mahoniowe, swoją przepiękną linią opływową naśladujące gondolę, oparte na złoconych nogach w kształcie lwich łap, które jak gdyby trzymały straż nad ustawionymi między nimi butami jeńców. Niby w kołysce leżał w nim blady kapitan przykryty dziecinnym kocykiem w biało-liliowe pasy, który jak cały skąpy inwentarz szpitalny był darem jednej z wielu ofiarodawczyń. Jej syn niedawno, jeszcze przed paru laty, okrywany troskliwie w łóżeczku z siatką tym właśnie kocykiem, teraz walczył być może w powstaniu na jakimś niewiadomym odcinku Żoliborza czy Starego Miasta.

Tak się złożyło, że obok kapitana i naprzeciw niego leżało dwóch ludzi rannych w brzuch. Ten obok, powstaniec, z zawodu konduktor tramwajowy, cierpiąc straszliwie zamykał już swoje dwudziestoletnie życie. Ponieważ leżał na ziemi, dużo poniżej kapitańskiej gondoli, Niemiec nie zobaczył go nigdy żywego. Słyszał tylko przy swoim boku rozdzierające jęki, urywane słowa i suchy zgrzyt zębów. Naprzeciw leżał 10-letni chłopiec postrzelony przez Niemców przy kopaniu kartofli. Cała nieunikniona porcja cierpienia, o wiele za ciężka na jego dzieciństwo — męka, którą musiał przeżyć bezwzględnie sam — stała jeszcze przed nim, ale już zaczynała brać go w swoje posiadanie, kiedy z oczami zapadniętymi i wydłużonym noskiem wołał daremnie o wodę.

W ten sposób kapitan wchłaniał równocześnie wzrokiem — z naprzeciwka, słuchem — z boku, kolejne stadia swego przyszłego konania, przeznaczone mu nieodwołalnie. Wreszcie zobaczył swego sąsiada, jak z twarzą uspokojoną już śmiercią płynął na noszach ku drzwiom, niesiony przez pielęgniarzy. I wtedy poczuł, że posunął się o krok naprzód, umieszczony jak gdyby na taśmie łączącej ich trzech i nieustannie ruchomej. Konduktor wyjechał już poza życie. Chłopiec obojętny wobec życia zbliżał się ku śmierci, a on nie oderwany jeszcze od swego ziemskiego bytu i bezsilny sunął wbrew sobie w kierunku własnego konania.

Pod wieczór zawołano siostrę Urszulę po raz pierwszy do kapitana. Odtąd sanitariuszki dyżurujące na jego sali wiedziały, że ile razy powie coś w obcym, niemieckim języku swym gardłowym głosem, to chodzi o przywołanie siostry Urszuli. Potem nauczyły się nawet odróżniać poszczególne słowa: „Schwarze Schwester". Kapitan rozpoczął z Urszulą ni mniej ni więcej tylko dyskusję polityczną, a raczej rodzaj kazania. Że Polacy są niewdzięczni i głupi. Że Niemcy chcieli tylko ich dobra. Analizował stosunki polsko-niemieckie na przestrzeni historii. Dlaczego w 1939 r. Polacy nie chcieli się zgodzić na oddanie Niemcom autostrady przez korytarz gdański? Przecież Führer niczego więcej nie żądał. Dlaczego tak prześladowali niemieckie mniejszości, że Rzesza musiała interweniować? I wiele innych wiecznie tych samych niemieckich zakłamanych twierdzeń, wypowiadanych z siłą najgłębszego przekonania — przeplatanych pełnym czci refrenem: „Adolf Hitler sagt".

Siostra Urszula, chociaż tyle razy przysięgała sobie, że nie będzie brać udziału w tych bezcelowych dyskusjach z Niemcami, jednak i tym razem nie opanowała się i padły słowa o Oświęcimiu, Mauthausen, Dachau.

Kapitan nie przyjął ich do świadomości.

— W obozach koncentracyjnych znajdują się słusznie ci Polacy, którzy działali na szkodę państwa niemieckiego, więc muszą być izolowani i ukarani.

Nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości. Rozwodził się za to szeroko nad rzezią Niemców w Bydgoszczy, nad nienawiścią polsko-germańską.

Siostra Urszula jeszcze w długi czas potem nie mogła zapomnieć jego niechętnego głosu. Tej nuty zawziętej nienawiści. Nienawiści najbardziej niebezpiecznej, bo urojonej z fanatycznej idei. Nie przypuszczała, aby miał ku temu jakąś osobistą przyczynę. Nie wydawało jej się, aby cierpiał kiedykolwiek przez Polaka. I siostra Urszula zamilkła, bo poczuła z przerażeniem, że chociaż te wyuczone na pamięć argumenty w ogóle jej nie przekonują, więcej — nie mogą przekonać nikogo rozsądnego, to jednak Niemiec czuje się zwycięzcą w dyskusji, tak jak zawsze wygrywa w niej nie ten, kto potrafi przekonać drugiego, ale ten, kto jak kapitan umie nie dopuszczać do siebie argumentów przeciwnika. Obwarowany szczelnie przekonaniem o niewątpliwości swojej racji tkwi w ciasnej twierdzy fanatyzmu, nadęty triumfem wiecznego zwycięstwa, zaślepiony i szczęśliwy.

Za chwilę, wywołana przez jedną z sióstr, przecięła na pół swym odejściem zdanie o kulturze niemieckiej. Wypowiedziane już zostały słowa o wysokości poziomu tej kultury. Reszta o jej dobrodziejstwach dla Polaków, brutalnie zahamowana, nie sformułowała się jeszcze w ustach kapitana, ale tkwiła mocno i niezłomnie w jego mózgu wśród zawsze niezmiennych prawd, stanowiących zasadniczy szkielet jego umysłowości — prosta i jasna, gotowa w każdej chwili oświecić tych głupców, którzy jej nie rozumieją.

Ściemniało się już, kiedy kapitan wezwał ją znowu. W mroku, który wszystkie dalsze przedmioty połączył już w jedną bezkształtną masę, a zacierał granice bliższych — kapitan złożył w ręce Urszuli zegarek i ciężki złoty pierścień wyjaśniając szeptem: „Chciałbym mieć dwadzieścia ampułek morfiny i strzykawkę". Pierwszą myślą siostry Urszuli było: „Narkoman. Ale nie. Dwadzieścia ampułek to porcja na 10 dni, a przecież kapitan nawet jeśli był najróżowszym optymistą nie mógł marzyć o więcej niż pięciu dniach życia". Potem, zrozumiawszy, powiedziała jak wyuczoną lekcję: „Etyka pielęgniarki nie pozwala na spowodowanie samobójstwa". Pierwszy raz określiła dokładnie tę rzecz, która dotychczas nie nazwana słowem i mglista, ale uparta, ni to uczucie, ni to nieokreślone pragnienie, snuła się bezustannie w świadomości Niemca. Zmaterializowana słowem „czarnej siostry" stała się taką koniecznością, że kapitan oślepiony żarliwością swego zachcenia popełnił błąd, chybił. Zamiast odwołać się do litości pielęgniarki, apelował do jej nienawiści. Tak zresztą było mu łatwiej. Niemiecka buta nie pozwoliłaby mu może prosić o litość. Natomiast nie czuł upokorzenia wyrzucając z siebie pierwszy raz już nie obojętnie, jak zwykle, ale gorączkowo:

— Siostro, siostro — przecież siostra jest przede wszystkim Polką, potem pielęgniarką. Ja znam Polki. Jak one potrafią nienawidzieć nas, Niemców! Niejedna czekałaby całe życie, aby móc zrobić to, co siostra może. Zabić własnymi rękami Niemca. Cóż siostrze z tego, że umrę przez jakąś niewiadomą kulę? A tak to będzie siostry dzieło. Siostry przyjemność. Siostry rozkosz.

Siostra Urszula patrzyła nieuważnie na przedmioty, za które kapitan chciał sobie kupić śmierć. Pierścionek kosztowny i wyjątkowo niegustowny. Dwie żmije pożerające się nawzajem. Duży, solidny zegarek na rękę tykał w jej dłoni, jak niespokojne serce schwytanego ptaka. Fosforyzująca już w mroku wskazówka sekundnika biegła pośpiesznie po niewidocznym cyferblacie, niby zielona strzała odmierzająca sekundy kapitańskiego życia.

Było już tak ciemno, że siostra Urszula prawie po omacku położyła pierścionek wraz z zegarkiem w miejscu przypuszczalnej dłoni Niemca i bez słowa wyszła przez oszklone drzwi na ogród. Tutaj dopiero zaczynała się noc. Nietoperze trzepotliwym ruchem bezszelestnych skrzydeł rozsnuwały ją nad szpitalem, przecinając ciepły mrok zygzakami swych ostrołukich lotów.

Usiadła na ławeczce, naprzeciwko mogił zmarłych w szpitalu. Na tle jaśniejszego trochę nieba rysowały się niezgrabne krzyżyki z patyków. Pomyślała machinalnie, że z każdym dniem wyrastają nowe.

Słodki zapach niewidocznych lewkonii płynął od grobów. Na pobliskim płocie bielały pasma suszących się bandaży. Z daleka huczał szpital przedwieczornym, zamierającym gwarem. Widziała, że w willi obok płomienie świec stojących na stole chwiały się niespokojnie, jak gdyby składając sobie ukłony. Gdzieś w stawku na prawo kumkała żałośnie zapóźniona żaba. Niekiedy odległa seria karabinu maszynowego przesypywała się w cichym powietrzu.

Myślała, jak bardzo skomplikowaną i trudną rzeczą jest nienawiść. Ona sama nie umiała nienawidzieć. Jeszcze jako mała dziewczynka zapominała niespodziewanie prędko o wszystkich uczynionych jej krzywdach dziecinnych, które w pierwszej chwili tak namiętnie postanawiała pomścić. W latach wojny najbardziej ze wszystkiego męczyło ją to potworne narastanie nienawiści. Nienawiści wszystkich do wszystkich. Polacy, Niemcy, Żydzi, Francuzi, Rosjanie i wszystkie narody świata wplątane były w ten straszliwy krąg wzajemnej nienawiści.

Do której nienawiści odwoływał się właściwie ponury kapitan? Tylko powierzchowna, niecierpliwa i bezmyślna nienawiść skróciłaby mu cierpienia, pragnąc posiąść satysfakcję śmierci zadanej własnoręcznie. Nienawiść prawdziwa, głęboka i przemyślana przedłużałaby jeszcze jego mękę, żeby wreszcie znaleźć ulgę patrząc na to jak najbardziej rozwleczone okropne konanie. Dla Urszuli wszystko to było obce. Ileż razy wyrzucała sobie, że słaba i chwiejna nie potrafi uchronić w swoim sercu nienawistnych uczuć przed rozkładowym działaniem litości. Ileż razy jakiś nieporadny ruch znienawidzonego człowieka, jakieś bolesne jego słowo, rozbrajały w oka mgnieniu nienawiść tak przez nią starannie pielęgnowaną. Najgorzej było w stosunku do Niemców, o których wiedziała, że powinna ich nienawidzieć, a jednak było to dla niej takie trudne. Wstydziła się tego, ukrywała usilnie, bo czuła, że tak jak należy być wierną w miłości, trzeba dochować wierności i w nienawiści. Zdrada nienawiści była równie godna potępienia jak zdrada miłości. A jednak wiedziała dobrze, że jeśli da Niemcowi śmiercionośny zastrzyk, będzie działała pod wpływem litości, a nie nienawiści, tej, do której on się odwoływał, chociaż jej nie czuła.

Jeszcze wiele razy w ciągu nocy kapitan przyzywał „schwarze Schwester". Idąc do niego wiedziała, że po długim i starannym przygotowaniu argumentów będzie teraz plastyczniej i żarliwiej roztaczał przed nią rozkosze płynące dla niej z jego śmierci. Z uporem człowieka nie mającego nic do stracenia szukał na wszelkie sposoby szczeliny w ścianie jej niechętnego milczenia. Jakiegoś dojścia do niej. Sam nienawidząc, nie wiedział o jej litości. Czuła, że w swoich myślach związał ją ściśle z możliwością upragnionej śmierci, z wyłączną szansą skrócenia cierpień. Ta jedyna sprawa, która go w tej chwili obchodziła — czyniła z niej teraz osobę dla niego najważniejszą, najbliższą, najpierwszą w szeregu wszystkich kobiet, które niegdyś kochał. Słuchała jego gorączkowych szeptów w sali granatowej od ciemności i wypełnionej szczelnie po brzegi głosem polskich i niemieckich jęków. Chwilami wydawało się jej, że to wszystko nie jest prawdą, że razem z tymi siedmioma łóżkami górującymi nad pospólstwem sienników, razem z tą całą salą, stanowią scenę teatru jakiegoś „Grand Guignolu". Że jest to straszna rola, która się zaraz skończy. Rozbłysną światła, zobaczy roześmiane już twarze, będzie gwarno i bezpiecznie.

Kapitan nie wiedział oczywiście, że siostra Urszula w pustej sali opatrunkowej, w niebieskawym świetle syczącej karbidówki kilkakrotnie odliczała już 20 ampułek morfiny i wpatrując się w ich bezbarwną zawartość usiłowała odczuć siłę skoncentrowanej w nich śmierci. Ale wahała się, nie chciała ulec litości. Pragnęła choć ten raz dochować wierności swojej nienawiści. Niekiedy próbowała oszukać się myślą: „Dlaczego nigdy nie śmiałabym skrócić cierpień któremuś z naszych". Ale w gruncie rzeczy wiedziała, że to są sprawy odmienne. Polacy do ostatniej chwili nie zdawali sobie sprawy, że muszą umrzeć. Dobrowolnie za nic na świecie nie wyrzekliby się swego życia, bo jednak na dnie serca taili nadzieję: „A może?" Niemiec jako lekarz wiedział, że nie ma dla niego ratunku, więc pragnął już tylko rychłej śmierci.

Kiedy po parogodzinnej przerwie zobaczyła go dopiero w południe, był bardzo zmieniony. Taśma znowu się przesunęła. Chłopak z naprzeciwka już umarł, a przedśmiertny wyraz jego rysów legł na twarzy Niemca. Poczerniały mu usta, wydłużyła się twarz, zapadły oczy. Niewątpliwie zaczynało się zapalenie otrzewnej. Dygotał cały w gorączce i zacisnąwszy silnie powieki powtarzał nieustannie, na wpół przytomnie: „Eine Spritze, une picure, injection". I całe mnóstwo jeszcze innych nieznanych wyrazów egzotycznych w najróżniejszych językach, które wszystkie pewno znaczyły to samo. Dla ogółu ludzi po prostu zastrzyk, dla niego upragnione wyzwolenie.

Siostra Urszula, przejęta do głębi podwójną treścią tych powtarzanych monotonnie słów, nie wahała się dłużej. Poszła po morfinę.

W tej chwili przed szpital zajechały z turkotem wozy, z których wysypało się kilka zgorączkowanych bab. Z kroplami potu na nosach opowiadały chaotycznie w komendzie szpitala, że porucznik niemiecki kwaterujący ze swoim oddziałem w ich wsi, w Jeziorkach, przysłał ich tutaj z groźbą, że albo powstańcy wydadzą niemieckich jeńców, żywych czy umarłych, albo Jeziorki zostaną spalone.

Lekarz naczelny nawet się ucieszył. Miał doskonałą okazję pozbycia się Niemców, których nie tylko trzeba było żywić i opatrywać, ale których obecność skłóciła mu w dodatku cały personel.

Pośpiesznie zaczęto pakować Niemców na wozy. Jeden ranny lżej w obojczyk wcale nie chciał jechać. Miał już dosyć wojny i myślał, że u powstańców jakoś się zadekuje. Ale przemocą wsadzono go na wóz. Odjechali pod chmurzącym się od rana niebem, w powietrzu już pachnącym deszczem.

Atmosfera w szpitalu momentalnie zelżała. Tylko siostra Urszula czuła hańbę swej decyzji. To, że jej nie zrealizowała, było tylko dziełem przypadku. W głębi serca wiedziała, że uległa w końcu swojej litości, nie umiała w nienawiści stanąć na wysokości zadania.

Pod wieczór, kiedy zaczynało się wypogadzać, ktoś przyszedł z wiadomością, że „na wschodzie coś się strasznie pali". Wszyscy wylegli przed szpital. Rzeczywiście czarne dymy kłębiły się na horyzoncie podeszczowego nieba o seledynowej barwie. Gdzieniegdzie rozpryskiwały się wśród nich pęki iskier podobne do fajerwerków w lunaparku.

Po niejakim czasie pojawił się na ulicy tłum zadyszanych kobiet w przekrzywionych chustkach, rozkrzyczanych dzieci, spoconych wyrostków, jęczących starców... To byli uciekinierzy z palących się Jeziorek. Nieprzytomni ze strachu nie umieli nic powiedzieć. Tylko to jedno obłąkane: „Pali się, pali się!"

Dopiero dokładne sprawozdanie przyniósł pielęgniarz Feliks. Feliks był właściwie dozorcą domu, ale po jego zbombardowaniu zgłosił się na ochotnika do szpitala jako sanitariusz. On to odwoził do Jeziorek rannych Niemców.

— Ano jakeśmy przyjechały do tych Jeziorek — opowiadał — tamte szkopy strasznie się ucieszyły. Witali się, klepali, szwargotali między sobą. Zaraz im pchali jakieś jedzenie, same frykasy, ale oni że ni, bo u nas nie byli głodni. Ten hauptman postrzelony w brzucho co to u nas miał trzy ćwierci do śmierci, tam jakby się obudził, czy co? Gadał coś z takim grubym lojtnantem, niby jego zastępcą. Potem szwabów zaczęli zdejmować z fur i nosić na eleganckich noszach (żebyśmy chociaż jedne takie mieli, a nie te drabiny). A hauptman przez tłumacza, widzi mi się pepiczka, bo strasznie słowa przekręcał, gadał do tych tamtejszych bab, żeby się zabierały, bo wieś będzie spalona. One, sieroty, pytają dlaczego — a bo — powiada — Polacy są świnie i bandyci. Tośmy wszyscy zrozumieli. Powiedział: szwajne i bandite. Taki się wielki płacz zrobił pomiędzy całym wsiowym narodem, że nawet te inne Niemce, co to u nas w szpitalu leżały, zaczęły go prosić, aby darował. Ten jeden, co to mu granat, za przeproszeniem, głowę ogolił, nawet coś bardzo krzyczał na hauptmana. Ale on ni i ni. — Za to, że nas tamci dobrze traktowali — powiada do kobiet — wy możecie iść, gdzie chcecie, ale wieś spalę. I jeszcze, że Niemcy są sprawiedliwe. W głowie mu się musiało pomieszać, czy co, cholera. A wyglądał przy tym, że się przyśnić może. Zielony na gębie, pokrzywiony, nos długi, cały się trząsł, a jak dyszał! On ta długo nie pociągnie. A za tę kobiecą krzywdę niech kona i skonać nie może Szkop przeklęty! Jeszcze powiedział do bab: — A podziękujcie czarnej siostrze ze szpitala, że taka litościwa, życie mi uratowała. Przez to mogę wam wieś spalić. Dwa razy to powtórzył i nawet się śmiał, ale potem coś mu było gorzej, bo go tamci wzięli. Ale wieś spalili, syny sobacze.

Lekarze skupieni wokół Feliksa popatrzyli po sobie. — Peritonitis na mózg mu się rzuciła. Szkoda, że tu nie umarł. Trzeba mu było pomóc. A to ziółko dopiero!

Ale zmartwiała siostra Urszula wiedziała na pewno, że umierający Niemiec miał zmysły w porządku. Tylko konsekwentniejszy od niej pozostał wierny do końca swej nienawiści.

Maria Jarochowska

FRANCISZEK GIL

Żniwo wielkiej reformy

WŁADZA LUDU*)

Staliśmy wysoko na działach pogórza. Znów rozchodziły się stąd krzyżem u szczytu związane drogi „na Tarabuk" i „na święty Roch", którymi w pamiętną dla mnie na zawsze noc sierpniową chłopi szli i szli na Rzeszów. Zapraszający mnie do siebie chłop z sąsiedniej wsi tłumaczył mi „ścieżki". Wokół jak okiem sięgnąć garbami pogórza kołysała się ziemia strajków chłopskich i pacyfikacji, ziemia, która co roku oddawała swe ręce kopalniom Francji i karczowiskom Brazylii.

W nowej Polsce na każdy kilometr kwadratowy wypadnie 70 mieszkańców. Tu wypadało ciągle jeszcze 169. Ale chłop nie lękał się tego. Wiedział, że teraz „coś się stanie", był we władzy jedynej chwili: czuł, że staje się tym, co w szkole, w czytankach i gazetach nazywało się Polską. Działa się zawsze ta Polska w dworach, a teraz zaczynała się dziać na jego obejściu. Widział, że siedem tysięcy hektarów rozparcelowanych w powiecie użytków rolnych mnoży się już w inne użytki: gimnazja, urzędy, węgiel, elektryfikację, ziemię i fabryki zachodu, porty północy. Ale w chwili narodzin tego poczucia, w chwili gdy życie jego bogaciło się o te nigdy niedostępne rzeczy, targał nim strach przed utratą tej fortuny, a strach sycila nienawiść: oni nawet cmentarze mieli osobne. Nie był to przypadek, że chłop, który na pytanie o dwór miał tylko bezbarwny ruch ramion „— nasrane i tyla —" stał parędziesiąt metrów od tego „pańskiego" cmentarzyka w Zalesiu. Nakryci wykutymi w nagrobkach herbami leżeli na wysokim obmurowanym obejściu ostatniej na zachód cerkwi w rzeszowskim: Gumińska z Nadachowskich, Nadachowska z Trzecieskich, „Przyjaciel" Nowaczyński i ostatni grecko-katolicki paroch tej mieszanej parafii, oteć Iwan Kamińskyj, którego ostatni „ruscy" wierni na dwa lata przed ewakuacją pożegnali kamiennymi słowami „ty jesy jerej wo wik". Kunsztowne sztachety z bramką i tu przedzielały ich od chłopów, którzy mrąc szli na inny cmentarz, kwadratem chudych topól szumiący w nizinie łąk.

Łoskot walącego się dworu, a waliły się tu dzieje, zagłuszał narodziny świadomości, w której pokusa ostatecznego sprawdzenia wolności i asekuracji nowozdobytego życia — rozebranie i zaoranie dworów — ustąpiłaby miejsca sprawdzianom wyższym i pozytywnym — perspektywie gimnazjów i spółdzielni zdrowia.

Dwór z chwilą odejścia pana przeszedł dwie fazy społecznego dziedzictwa: pierwszą, szerszą — do chwili podziału ziemi i inwentarza, obejmującą cały „popański" spadek i drugą, węższą, trwalszą — administrację resztówek przez Urzędy Ziemskie, przechodzącą w społeczną administrację Samopomocy Chłopskiej. Z kroniki rewolucji widać jasno, że w tej pierwszej fazie poprzez komitety folwarczne i pełnomocników reformy krystalizowała się pierwsza w dziejach wsi świadomość odpowiedzialności społecznej wobec przejętej na rzecz mas chłopskich własności, pierwsze poczucie administrowania i podziału chłopskiego dobra przez chłopów. Krystalizowało się i formowało wtedy, kiedy na wsi, w masie chłopskiej, przeważała głównie chęć indywidualnego dziedziczenia, indywidualne poczucie własności tego, co zostało. Chłop Pusz z Małej Woli pisał: „Teraz, kiedy wyjdę w pole, to najmniejsza grudka ziemi krzyknie do swej sąsiadki — cicho! — pan nasz idzie!". Wójt słociński mówił: „Ziemi nam nikt nie daje, lecz sami mamy sobie zabrać, bo się nam należy... Nie turbować się o to, jak będą żyć teraz hrabiowie i obszarnicy — oni są także ludzie jak i my i mogą pracować jak i chłop i żyć na świecie... pan czy hrabia nie miał ziemi też od Boga, ale byli mądrzy to połapali ziemię i żyli w dostatkach"... Gromada Mrowla przysłała dwa „protokoły", w których grozili, że „jeśli gromada Rogoźnica zabierze im 50 h. z majątku, to powstanie wielka bujka". Dowodzili, że „Mrowla jedynie tylko pracowała na folwarku i jej się jedynie należy ziemia, która jest potem i krwią zroszona przez ludność Mrowelską, a nie przez Rogoźnicę".

A pełnomocnik Kozdra skarżył się z majątku strzyżowskiego, że „prawie nie zastał zapoczątkowania prac reformy rolnej przez nasze urzędy tj. Gmina i Gromada..." Donosił: „Teraz spisy już zrobione... przychodzi tylko wydalenie pana i tutaj mam dwa pytania: matka pracowała przed wojną na uniwersytecie w Lublinie, a teraz od 1 września jest profesorką Studium Ekonomiczno-handlowego w Strzyżowie. Żona przed wojną w gimnazjum, w czasie wojny muwi, że w tajnym nauczaniu, a od września w liceum w Strzyżowie jako wykładowca łaciny. I chciałem dostać odpowiedź czy one obie mogą zamieszkać na terenie gminy czy też nie". Trapiło go jeszcze wiele innych zmartwień prócz „wydalenia pana": „Chcący zasiać musze młucić — chcący młucić musze mieć benzynę... w jaki sposób i gdzie to można załatwić"... W końcu ziemia została już podzielona — „ale" — pisał — „zabudowania folwarczne, park, stawy, ogród warzywny wynoszący 2 h. nie zostały podzielone i nadają się na dom wypoczynkowy, sanatorium lub coś w tym rodzaju".

„Mąż zaufania" na majątku Dąmbskich w Rudnej, Pietrucha Michał, notował w swych „zprawozdaniach" pod datą 19 października: „zpowodu takiego ruchu jaki panował musiałem dopilnować bo meble zaczynano zamieniać gdyż zabroniłem taką robotę...". Z Hadli Szklarskich donoszono do „Resortu reform rolnych w Rzeszowie", że „służbe folwarku wypłacono tak jak mieli umowe oraz sezonowych robotników zaległości za które są dowody". I po dopisku, że „odsyłają również tutejszą bibliotekę, która pozostała 46 książek i 96 broszur", z boku, jakby nieśmiało pytali: „nie mamy się czym dożywiać — czy można zarżnąć jałówkę"?

Prosty i ludzki był język rewolucji, jak skąpy i ludzki jest język pola bitwy.

Ale kiedy masa chłopska pytała o ziemię, pełnomocnicy i komitetowi pytali jak ją dzielić. Kiedy chłopi skarżyli się, że pominięto ich przy rozdziale koni, krów, pełnomocnicy i mężowie zaufania skarżyli się, że wojsko nie chce ich wpuścić do skrzydła pałacu „gdy robotnicy mówią, że tam są zabytki i biblioteka". Chłopi zwracali akty nadania, a komisje gminne i pełnomocnicy pytali, skądby dostać materiału siewnego dla całego majątku, gdzie odstawić leżące na gumnie marchew i buraki.

Chłopi, którzy w tej pierwszej fazie społecznego dziedzictwa podołali administracji wielkich majątków, ze służbą, inwentarzem i plonami biernie czekających kierującej społecznej ręki, którzy w tej pierwszej fazie bronili dworów od „indywidualnej" reformy na rzecz interesu wszystkich chłopów, ludzie, którzy na fali frontu i na społecznej fali chłopskiej podejmowali i realizowali decyzje o społecznej ochronie majątku i najsprawiedliwszym podziale ziemi — nie wrócili już do domu. Zostali dalej w powiecie **administratorami ziemi, administratorami spraw ziemi, spraw chłopskich.** Zdali oni egzamin w najtrudniejszym okresie: w chwili, gdy chłopska masa zalewała dwory. Oni sami, organiczna część tej masy, zdołali ją opanować i świadomie społecznie pokierować. Dlatego już wówczas stali się faktycznymi włodarzami, faktyczną władzą powiatu. Dlatego niesie ona ich po dziś dzień jako swoich starostów — całkowicie różnych od „dekretowego" urzędnika przeszłości. Jako **władzę ludu.**

Dlaczego władza ta nie uchroniła jednak większości dworów od dewastacji?

Lata niemieckie, 1939—1944, są ostatnim przebłyskiem „lepszych czasów" w ziemiańskich dworkach. Zboże idzie w górę na dwóch rynkach: na rynku Oberkommando der Wehrmacht i na czarnym rynku. Dziedzice remontują zabudowania, bielą cugowe stajnie i murowane stodoły, jeszcze raz ustawiają w bramach parków portierów. Mówią ludzie, że przed samą śmiercią człowiek się ożywia, jest mu lepiej. Na łudząco spokojnym zapleczu „Ostfrontu" ziemianie bielą zabudowania, nowym, „generalnogubernatorskim" złotym, jego nowym stosunkiem do zboża, łatwo spłacają długi zaciągnięte w starych złotych. Zapominają, że przez szosę zaleszczycką uszedł z kraju ich ostatni, policyjno-pułkownikowski kontrahent społeczny w dziejach narodu.

Po odejściu armii niemieckiej nawet kapturowi obrońcy dworu mordują pełnomocników już tylko w imię „londyńskiej" reformy, w imię londyńskiego, bardziej „polskiego" podziału ziemi. Nikt nie odważa się w tych dniach mówić, że dwory winny zostać nienaruszone, jak żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie odważy się powiedzieć, że winniśmy chodzić po powietrzu, a oddychać ziemią. Dworu nie broniło już w świadomości społecznej chłopa poczucie cudzej własności, poczucie prawne. Znalazłszy się razem z nim w społecznej, tużpookupacyjnej i tużpofrontowej wyrwie dziejów, chciał go jak najszybciej zdusić — „zanimby nastał jaki nowy porządek", który by znów utwierdził „pańskie" we wsi. Słowa hrabiny Tarnowskiej — „my będziemy się bronić do ostatka" mogły w tej sytuacji być już tylko wstępem do epopei heroikomicznej.

I wtedy londyńskie siły polityczne kazały czekać na domniemaną „prawowitą" reformę, bojkotować wylaną szeroko rzekę, której jedynym obwarowaniem społeczno-prawnym były Manifest PKWN i dekret o reformie rolnej. Dwór de facto nie był już własnością pana. Ale stary dywersyjny chwyt obszarnictwa o innej, „porządnej" reformie miał dość sił, żeby opóźnić nadejście nowego porządku, regulującego stosunek do popańskiego mienia nie punktami manifestu, ale faktycznie dokonanym przegrupowaniem społecznym. Sabotaż czekania na „londyńską" reformę podał ręce rękom rabującym dwór, stworzył najwygodniejszą dla mrocznych instynktów nienawiści i chciwości sytuację, w której nie było ani pana, ani żadnych reform, nikogo. Nastąpiły dwie pozornie sprzeczne, ale ściśle z siebie wynikające rzeczy: **chwilowy sukces hasła „nie brać ziemi" i dewastacja dworów.**

Drugi luz społeczny począł się w momencie przekazania resztówek przez pełnomocników PKWN do spraw reformy rolnej martwym na ogół pod względem terenowym Urzędom Ziemskim, a z kolei Związkom Samopomocy Chłopskiej. Spadkobiercami dojrzałego poczucia odpowiedzialności społecznej komitetów folwarcznych i pełnomocników stawały się oddalone od dołów urzędy ziemskie i kolejno — najszersze masy chłopskie. Winić je o to, że niejednokrotnie nie mogły się oprzeć pokusie rozebrania i zaorania dworów — znaczyłoby uchylić się od społecznego i politycznego realizmu, od pełnego obrazu sił, żywiących chłopa na zwalisku szlacheckiej historii wsi, a słabnących wyraźnie w miarę utrwalania się w nim demokratycznej pewności o niemożliwości odebrania mu nowej sytuacji społecznej.

Dwa pytania niezmiennie zadawałem wszystkim rozmówcom. Zadawałem je ludziom, którzy w strajkach chłopskich mijali mój dom i ludziom, którzy cieszyli się, że policja Sławoja „pokazała już chłopom rządy". Ludziom, którzy ziemię otrzymali i którzy ją zwrócili. Działaczom, którzy ziemię dzielili i którzy od podziału cofnęli się — „bo co to za reforma". Ludziom, którzy byli u władzy i ludziom, którzy przekonywali mnie, że na wiosnę wszystko to się zmieni, że „wojna jeszcze nie skończona". Pytałem, czy jest ktoś, kto by chciał powrotu dworu i czy reforma zostałaby przeprowadzona, gdyby miast cięcia PKWN rozpoczęto dyskusje i uchwały. Nikt nie odpowiedział — tak.

Dwory same przeprowadziły pierwszą „parcelację", asekurując się na wszelki wypadek rozdaniem bydła, koni i ruchomego inwentarza między swoich zaufanych. Odroczenie decyzji ustawodawczej umożliwiłoby obszarnikom niemal całkowitą likwidację majątku przed oddaniem go chłopu. W sytuacji wytworzonej przez dekret właściciele ziemscy nie mogli już skorzystać nawet z pozornego sukcesu hasła „nie brać ziemi". Fundusz ziemi powiększył się we względny sposób: skorzystali zeń ci, dla których nie byłoby jej starczyło. A ci, co w jesieni „najbardziej" nie brali, na wiosnę i w lecie, kiedy ziemi już nie było, przyszli po nią do starostw i urzędów ziemskich, prosić swoich kolegów o lada „morgę", albo przynajmniej dzierżawę. Drzwi się nie zamykały — opowiadali Ostrowski i komisarz.

Szalbiercy, którzy wieki całe dusili chłopa za gardło, oszukali go raz jeszcze. Ale dzięki klasie robotniczej oszukali go już tylko w pojedynkę.

Ze sceny dziejów zeszła warstwa, która podważała w codziennym życiu narodu najwyższe cnoty: celowość wysiłku i pracy, wartość tworzenia. Która uczyła przykładem swego życia, że po to, by w Polsce mieć szacunek, czymś być — bynajmniej nie należy pracować, ale urodzić się — mieć sygnet. Która, uprzywilejowana w życiu za to tylko, że posiadała i używała, budziła jedną tylko wolę: mieć, by móc nie pracować, móc „żyć jak hrabia".

Zadawano tam i mnie pytania: — „czy to się zmieni". Nigdy jakoś nie miałem gotowej odpowiedzi. Nie licząc na koniec wywodu, na ostateczny wynik, poczynałem wspólnie robić rachunek. Co to znaczy — się zmieni. To znaczy — chłopi oddadzą ziemię, Ostrowscy, chłopscy starostowie i referenci wrócą na wieś — do kmieci, do roboty w skale, a przede wszystkim do więzienia. Tysiące dzieci opuszczą jednego dnia gimnazja w pałacach. Chłopi przestaną jeździć do Rzeszowa po węgiel, zaczną znów palić „patykami", chodzić na „pańskie" — do żniwa. Zduszą w sobie wizję elektrycznych lamp, zduszą i oddadzą całe swoje nowe, jak nigdy wzbogacone życie.

Ale czy można dobrowolnie oddać swoje życie?

W MUZEUM I NA WIKARÓWCE

Jakże niespodziane były drogi, po których wiodła mnie rewolucja! Szedłem do rzeszowskiego muzeum pożegnać latyfundium, zobaczyć co z niego zostało, a tymczasem na samotną wikarówkę zaprosił mnie ksiądz, przygotowany na śmierć z ręki ciemnych sił, broniących jeszcze dworu, katecheta, krok w krok idący z rewolucją chłopską, zasmarowanymi gliną rękoma budujący jej dom — gimnazjum chłopskie.

W muzeum spotkałem dwóch ludzi. Jeden z nich na pamięć znał każdy obraz, każdy sztych, każdą książkę. Jakby lubował się w tych definicjach — „Ludwik XVI, własność Jarochowskich, sekretarzyk w stylu empire, Belweder warszawski, według portretu, rodzaj laki". Drugi ruchami i gestykulacją streszczał to, czego dokonał. Jeden był z zawodu sędzią, drugi nauczycielem. Skąd wzięli się w tym muzeum? W innych powiatach niewiele uratowano dzieł sztuki w pałacach. Ci, a właściwie ten w krótkich ruchach streszczający swe wycieczki dyrektor, godzinami wystawał pod pałacami, żeby w przerwie obiadowej dowództwa móc wejść do środka. Wypraszał auta i podwody u starostów. Widać było, że po parcelacyjnych drogach gnała tego człowieka daleka urzędnikom z wydziału kultury miłość sztuki, amatorska namiętność zbieracza. Nie zapominał przy sztychach Vischera i Zucchiego, przy kolbuszowskich komodach i chińskich wazonach, że pierwszym, który chronił te rzeczy i, chociaż nie znając się na nich, czuł jednak wagę i dostojność tego strażowania, był powiatowy czy majątkowy pełnomocnik, a pierwszymi, którzy, jak tylko mogli, dawali na to auta i podwody — byli chłopski starosta i chłopski wojewoda. Odbywał się tu jakiś proces przyspieszonego dojrzewania kulturalnego, specyficzny dla momentu, w którym chłop zaczynał czuć, że ta nieznana mu jeszcze dokładnie część kultury należy już do jego społecznej dyspozycji. A że nieraz brano ich za rabusiów i w pierwszej chwili stawiano pod ścianę — to należało już do dziejów rewolucji.

*) Por. „Chłopskie gimnazjum w hrabskim pałacu" w nr. 64, „Nowy los chłopskiego dziecka" w nr 65 i „Ziemia, ziemia..." w nr 67 „Odrodzenia".

MALARSTWO POLSKIE



JÓZEF PANKIEWICZ (1886—1941) — Martwa natura

Było tu wiele obrazów, książek, mebli i sztychów, wiele „zabytków z reformy". Dzieci z gimnazjów chłopskich przychodziły pieszymi wycieczkami oglądać gobeliny, Canaletta i Rzepińskiego, których nie było już w ich pałacach, przychodziły oglądać Vischera i Rubensa, galerię Dąmbskich. Zabytki latyfundium przeszły na własność społeczną. Ale w dwóch salach muzeum, w oprawnych w herby, nie wychodzących poza pierwszą wojnę światową edycjach, w sztychach i karłach weneckich, marnie i martwo jakoś wyszły narodowe proporcje kulturalnej misji dziejowej dworów. Nic nie mogło zmienić stosunku tych różnych i obcych sobie płaszczyzn, nawet gdyby „zabytki" zajęły dwieście sal. Nic nie mogło przesunąć najostatniejszej daty dworu, jako tlejącego jeszcze jako tako ogniska kultury — roku 1914. Potem dwór już tylko martwym odwłokiem włości i przywilejów hamował możliwości przejęcia resztek tego spadku przez wstępującą w proces kulturalny narodu warstwę chłopską, dusił jej olbrzymie społeczno-twórcze możliwości w kulturze.

Doświadczony Kotula i ten młody, niewiele znający się na sztuce starosta, żałowali „zabytków", które przepadły w chłopskich chałupach, w żołnierskich skrzyniach. Tymczasem ginęło parę sztychów, parę kolbuszowskich komód, ale miliony dzieci chłopskich wstępowały na drogę przeżycia starego sztychu, na drogę przeżycia i zbierania obrazów, którychby do końca życia nie ujrzały we dworze.

W ciemnej sali na dole, w bezładnym jeszcze magazynie, mieszczącym część zwiezionych tomów i mebli, spotkałem się z marszałkiem krajowym Ludwikiem Wodzickim. Stał tu w kontuszu, w pasie słuckim, a tam w jego włościach katecheta Trojnar, zaprosiwszy mnie na wieczór do wikarówki, mówił patrząc w okno: „Jest bardzo wysokie, nie wejdą. Przez drzwi nie wpuszczę, jeśli nie poznam głosu. Jestem na wszystko przygotowany". Ciemne siły broniły jeszcze dworu. Zabito organizatora „Wici" w gimnazjum, paru-nastu uczniów, między nimi syn Żmudy, otrzymało wyroki śmierci. Ksiądz mówi! — „uniosłem się nad grobem. Powiedziałem: ja jestem winien jego śmierci. Gdybym mu był nie mówił — idź, pracuj — byłby żył. Koledzy mówili mi później — źleś zrobił, nie trzeba było, inni byli ostrożniejsi. Ale ja nie mogłem..." i ciągnął dalej: „patrzą się z niepokojem na mnie, co z tego będzie, po jakiej drodze pójdę... — Jestem „czerwony" dlatego, że pochwalam reformę rolną... ja znów nie widzę, żeby to nie zgadzało się z moimi obowiązkami kościelnymi, z przykazaniami"...

Paskudny to był wieczór, plucha wyła w pustej dzwonnicy, o jedenastej miał kończyć brewiarz: „wtedy pana wyrzucę". Pytałem czy zna Bernanosa. Nie czytał. Trochę, malutko Mauriaca. Ale jakby rekompensując to, wyjął ze stolika równiutko ułożone i schludnie zapisane karteczki. Każda karteczka to była jedna książka: króciutka treść i wrażenia. Wstydził się któregoś roku: „wtedy jakoś bardzo mało czytałem". I jak gdyby tę lukę znów wypełniając, rozłożył jeszcze na stole księgę z najróżniejszymi wycinkami z gazet lubelskich, od pierwszej chwili oswobodzenia.

W Budziwoju, w dwa dni po pogrzebie, ksiądz wyklinał z ambony „Wici". Ten piętnował morderców. Pasjonowały go problemy najbardziej twórczych form wychowania chłopskiego dziecka. Syn chłopskiej rodziny szedł razem ze zbudzonym chłopem, choć starsi koledzy w sutannie tłumaczyli mu, że idzie przeciw siódmemu przykazaniu, bali się „co z nim będzie".

W którejś części rozmowy, jeszcze przed Bernanosem wziął coś w nawias — że to poufnie. Zdaje się, że tę sprawę sporu ze starszym klerem o siódme przykazanie w reformie rolnej.

Czymże jednak można zaszkodzić temu żołnierzowi rewolucji rolnej w sutannie noc w noc gotowemu na śmierć w swojej wikarówce!

Franciszek Gil

Dwa listy z Zakopanego

Rafała Malczewskiego poniosło w świat, Kornel Makuszyński, relikt sielankowych „Listów z Zakopanego", milczy — po raz pierwszy Zakopane nie ma „dobrej prasy", nie ma w ogóle prasy. Nie są temu winne góry, bo Tatry jako urz. inf. i prop. spisywały i spisują się bez zarzutu. Ale powodów nie brak. Miasteczko u stóp Tatr, niegdyś osiedle zakopane, z czasem modniejąca wieś góralska i młodopolska „nasza letnia stolica", wreszcie „stolica sportów zimowych" i „Zakopane, Zakopane!" dopracowało się tytułu stolicy goralenvolku, a jakiekolwiek przytoczylibyśmy dane na dowód, że karykaturalny kolaboracjonizm i faszyzm kilku rodów góralskich ogarnął tylko nieznaczną część góralskiego ludu, nie moglibyśmy zaprzeczyć, że właśnie w Zakopanem natrafił na najodpowiedniejszą glebę, że właśnie w Zakopanem wydał najjadowitsze owoce.

I dlatego ku Sabale, ocalałemu z zamieci, kieruję pierwsze kroki po latach, w których Zakopane — moja bliższa ojczyzna — było dalekie ode mnie. I Sabała na pomniku Chałubińskiego wygrywa po dawnemu melodię na gęślikach — legendarny góral Tetmajera, Sienkiewicza, Witkiewicza i podhalańskiej plejady — Sabała, z tego samego rodu Krzeptowskich, z którego pochodził „Wacuś", powieszony za tworzenie goralenvolku. W pożarze pierwszej wojny światowej spłonęło dawne Zakopane „Sabałowej bajki", w pożarze drugiej wojny zgorzały i wypaliły się do cna próby zachowania legendy przy życiu i przedłużenia dawności, na którą już „odkrycie Zakopanego" wydało wyrok śmierci. Z rodu Sabały wyrósł führer góralski — czyż trzeba innego dowodu, że dawność przetliła się i rozsypała?

Do ostatnich dni za pomnikiem Chałubińskiego stał „Dom Chałubińskiego", stara drewniana buda, omszona i spatynowana. Przeżyła Tytusa Chałubińskiego, pozytywizm i lata Młodej Polski, i przeżyła Ludwika Chałubińskiego, po sanacyjnym Zakopanem obnoszącego swą anachroniczną postać marzyciela w fatermörderze i powłóczystej pelerynie. A przed paru tygodniami przygodni goście zaprószyli w niej ogień i z „Domu Chałubińskiego" pozostały zwęglone resztki.

Jeszcze trzyma się „Dom pod Jedlami" na Kozińcu i Jan Pawlikowski, syn Jana a wnuk Miecza (któren z Asnykiem, Sieczką i Walą na Wysoką się wyprawiał anno 1876), pisze do „Twórczości" o „przekleństwie zakłamania" w stosunku burżuazji polskiej do autochtonów Podhala. Ale starą „Swobodę" z ul. Witkiewicza — która od epoki pierwszych turystów giewontowych dożyła wypraw na wschodnią ścianę Garłucha, zachodnią ścianę Łomnicy i północną ścianę Lodowego Szczytu — kazali Niemcy rozebrać na szmelc, że grzyb ją toczy, a „Sienkiewiczówka" naprzeciw „Domu Chałubińskiego", która też dobre i złe czasy przetrwała, dziś, uszminkowana i podmalowana, nazywa się „Brodziszówka", godna widać tej metamorfozy i imienia filmowego gwiazdora.

Można tej przeszłości romantycznie żałować, ale szkoda żałować. „Przeżytych kształtów żaden cud", itd., jak to pisał właśnie Asnyk, też entuzjasta Zakopanego, wrośnięty w jego młodość i wraz ze swoimi rówieśnikami odgrzewający „odkrycie Zakopanego" (bo prawdziwe odkrycie Zakopanego to epizod o pokolenie wcześniejszy, to dzieło Zejsznera, Janoty, Kremera, Pola, Pietrusińskiego i w. in., czasy młodości Sabały, Wali, Tatara i Stolarczyka). Próbując wyprawą w głąb Tatr odbudowywać dzień z wczoraj, lecz pomiędzy dawność a teraźniejszość wkradł się nie tylko czas, który przestał być czasem młodości; dziś jeszcze zbyt mało dzieli nas dni od owego wczoraj, w którym kapele góralskie grały przed Frankiem, Himmlerem i oficerami SS, a delegacja górali zawoziła Frankowi na „zamek krakowski" w darze starodawny sąsiek, ukradziony Józefowi Oppenheimowi.

Śmierć szubieniczna Wacława Krzeptowskiego jest tylko częściową i niedostateczną ekspiacją za tę zdradę. O jej źródłach i przyczynach pisaliśmy już nieraz i nie jest to temat wyczerpany. Wracać doń musi każdy, kto się dzisiaj podhalanizmem zajmuje (dowodem choćby Pawlikowski w „Twórczości"). Góralszczyzna — zwłaszcza zakopiańska — znalazła się pod wyjątkowym uciskiem wpływów z zewnątrz, wyraźnie ujemnych choćby przez swój ton zadyszanego pochlebstwa. Demoralizowana najpierw przez cielęce zachwyty i burżuazyjne narowy zawodowych entuzjastów i bogatych „ceprów" — a następnie świadomie, cynicznie i zawodowo demoralizowana przez sanację, która dla Zakopanego miała takich ludzi, jak wicemin. Bobkowski, herostrat turystki polskiej — jego podskakiewiczów, apologetów kolejek i zamienienia Tatr w lunapark, a także pospolitą szuję i zdrajcę, Szatkowskiego — góralszczyzna zakopiańska wykazuje jeszcze ciągle schorzenia, wymagające zabiegów leczniczych. Jest to smutne, ale nie wolno na ten fakt zamykać oczu.

A oto ponury przykład czasów ostatnich: kule NSZ położyły kres życiu Józefa Oppenheima, owej charakterystycznej postaci Zakopanego, długoletniego kierownika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, przywiązanego do góralszczyzny i zrośniętego z nią, jak mało który przybysz z dolin. Jako młody członek „Proletariatu" trafił pewnego dnia przed przeszło 40 laty Józio Oppenheim na Podhale — i odtąd pozostał w Zakopanem, zakochany w jego górach i śniegu, w jego folklorze i psychicznym klimacie. Z gen. Zaruskim jeden z pierwszych nauczył się jeździć na nartach, z Józefem Lesieckim robił odkrywcze i trudne zimowe wyprawy taternickie (np. pierwsze wejście zimowe na Mięnarza i na Kaczy Szczyt), u boku Zaruskiego stanął do pracy w TOPR, któremu odtąd poświęcił najlepszą część życia. I gdy starzejący się Zaruski od góry przerzucił się do morza, miejsce jego jako kierownika TOPRu objął Oppenheim, odtąd organizator, kierownik i uczestnik wszystkich polskich wypraw ratowniczych w Tatry. Moglibym na podstawie skrupulatnie prowadzonych kronik Pogotowia wyliczyć dokładnie, ilu dziesiątkom ludzi sprawna i spieszna pomoc Pogotowia uratowała życie, ile zwłok ofiar gór zniesili rodzinom z nieprzystępnych dla grabarzy miejsc członkowie Pogotowia, zawsze z Oppenheimem na czele. Ale czyż tu chodzi o statystyki...

Gdy uderzył wrzesień 1939 r., Oppenheim opuścił Zakopane, po drodze wręczył prezesowi Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego 600 zł stanowiących kasę TOPRu i z dwudziestoma złotymi wyruszył w wielką wędrówkę. Natychmiast po oswobodzeniu Podhala wrócił do Zakopanego. Burzliwe losy ocaliły go od donosów, zdrady, łapanek, niemieckiego pościgu i śmierci z rąk niemieckich — po to, by dosięgły go kule polskie. Zamordowano go, bo był przekonań demokratycznych, zamordowano go, bo „Żyd nie ma prawa żyć". Sprawcy uszli i trudno rozstrzygnąć czy mordu dokonali jacyś wolontariusze, czy członkowie świeżo przepędzonej z Podhala bandy „Ognia" czyli kryminalisty Józefa Kurasia, skupiającego wokół siebie pospolitych opryszków, Niemców i nawet byłych esesmanów i gestapowców (por. „Dziennik Polski" z 26 lutego br.). Ale i w tym wypadku nie wolno przeoczać wpływów postronnych.

Publiczną było przecież tajemnicą, że Oppenheim stał się po powrocie do Zakopanego przedmiotem brutalnej nagonki ze strony ludzi, którym nie przypadło do smaku, iż miał on objąć swoje dawne stanowisko w sporcie i Pogotowiu. Ta zawiść sięgnęła poza śmierć. Na pogrzebie stawił się przedstawiciel PZN i stawili się przedstawiciele PTT, które obroniło Oppenheima przed oszczerczymi i obrzydliwymi zarzutami, ale za trumną postępowało kilkanaście osób i — co najbardziej wymowne — świecili nieobecnością górale i nie zjawiła się na pogrzebie przewodnicka „elita", której tyle lat wiódł Oppenheim na wierchy. Nie wrogość, bo górale byli zawsze w zgodzie z Oppenheimem i tysiąckrotnie świadczyli mu swą przyjaźń, ale obrzydliwy oportunizm, ten sam, który Cukrom i Karpielom wciskał do ręki kennkartę z nadrukiem „G", pochował po domostwach tych osobliwych potomków zbójników.

Tak znowu wracamy do kwestii góralskiej i z głębokim niepokojem mierzymy zasięg choroby. Ale bezstronna, zrównoważona diagnoza nie wypadnie na szczęście całkiem niepomyślnie. Bo Zakopane nigdy nie miało prawa reprezentowania góralszczyzny, choć mu to prawo przypisał jeszcze w jesieni 1939 r. Krzeptowski. W niedalekim Chochołowie stoi na widocznym miejscu świątek pamiątkowy. Ów świątek odwrócony jest zadkiem w stronę Zakopanego; „to na despekt Zakopanemu", objaśniają górale, „za jego stanowisko wobec chochołowskiego powstańca". Wtenczas Zakopianie nie tylko nie poparli akcji chochołowskich krajanów, ale przyłączyli się z własnej gorliwości do gromady żołnierzy austriackich, ciągnących przeciw powstaniu. Nieomal w stulecie chochołowskie pojawił się w Zakopanem führer góralski; znalazł w sąsiedztwie zwolenników, ale im dalej od Zakopanego, tym mniej.

Zakopane tysiącem materialnych korzyści wiązało się z tym, co było w Polsce złe i sanacyjne (także przed sanacją). Głębokie przemiany społeczne, które dokonują się w Polsce współczesnej, wywrą istotny wpływ na Zakopane przyszłości. Zniknie nieprawy dobrobyt, wymrą górale rzempolący na dudach nocą dancingową. Usunąć trzeba będzie fetysz wypchanego portfelu, jako miernika stosunku do gościa — na ich miejsce przyjdzie, bo przyjść musi, rzetelny stosunek do pracy i obowiązków społecznych, rzetelne zrozumienie zmienionej roli Zakopanego, Zakopanego wczasów pracowniczych, nie królestw karnawałów. Im prędzej zrozumie to Zakopane góralskie i ceperskie, tym łagodniej i bezboleśniej przebiegnie w Zakopanem nasza łagodna rewolucja.

J. A. Szczepański

Zakopane, w marcu

Cóż, pisać będę o życiu kulturalnym Zakopanego. Obawiam się, że mimo pięknej i słonecznej zimy obraz będzie mroczny. Życie muzyczne — nie istnieje. Od pół roku nie było tu koncertu, jeśli nie liczyć przypadkowych występów gościnnych tej czy innej śpiewaczki. Plastyka? Pracuje oddział Związku Polskich Artystów Plastyków, liczący około czterdziestu członków. Urządza co jakiś czas wystawy o poziomie — niestety — nazbyt prowincjonalnym. Panoszą się na nich, spóźnione blisko o pół wieku, secesyjne z trzeciej ręki obrazeczki Kłosowskiego — oraz pompierskie i liliowe portrety Szpakowskiego. Z ostatniej wystawy zimowej wyróżnić można: ciekawie skompenowane studia pejzażowe M. Bieszczanina, dwa „Don Kichoty" Miklaszewskiego (węgiel), „Martwe natury" T. Kurka i K. Maroz, robione manierą kolorystyczną dzisiejszej krakowskiej szkoły akademickiej. O reszcie szkoda pisać.

Tzw. ludowy przemysł artystyczny zdegenerował się prawie zupełnie. Straszy z wystaw licznych sklepików pokracznymi figurkami górali wycinanymi z drzewa. O estetykę tych wyrobów dba bodaj jedna firma Fajkosza. Natomiast w całej już Polsce słyną piękne tkaniny Tołłoczkowej.

Literatura jest na bakier z miastem. Pisarze z prawdziwego zdarzenia wolą „nie udzielać się" w Zakopanem. Popasali tu ostatnio na dłużej: Andrzejewski, Broniewski, Kowalewski, Kurek, Morstin. Nikt o ich pobycie nie wiedział. Woleli iść w góry, z rzadka tylko kalając stopę sprawiedliwych Krupówkami, gdy znęciła kawa w „Europejskiej". W „Europejskiej" króluje Kornel Pierwszy Zakopiański.

Zarząd Miejski jest literatom nieprzychylny. Od wielu miesięcy członkowie Związku Zawodowego Literatów Polskich nie otrzymują kartek żywnościowych. Rezultaty nie dały na siebie czekać. Oto życie literackie reprezentuje Koło Pisarzy Podhalańskich. Są tam poeci gwarowi: Stanisław Nędza-Kubiniec i Aniela Stapińska. Ale obok nich grono „pisarzy" z dosyć dziwnej parafii: Anna Skarbek-Sokołowska opowiada swoje sny, albo wygłasza odczyty na przykład o tym, że postęp nie istnieje, bo takiej zgrozy jak dzisiaj, to i najstarsi ludzie nie pamiętają; Edward Kłonięcki deklamuje regularnie po trzy nowe wiersze okolicznościowe na każde święto kościelne i narodowe; ks. Józef Prorok pisze powieści historiozoficzne z dziejów ludzkości; Zofia Wingertowa męczy dzieci „Bajką o tatrzańskich krasnoludkach".

Odcinają się od tego tła odczyty rzetelnego filologa Tadeusza Bocheńskiego. Ostatnio w cyklu prelekcji dał interesującą próbę współczesnego spojrzenia na poetę z epoki Domicjana—Marcjalisa, ilustrowaną własnymi a trafnymi przekładami. Gorzej nieco bywa, gdy ten znawca antyku zapuści się w literaturę nowszą.

Życie teatralne ma kilka aspektów. O „Teatrze Podhalańskim" pół roku temu pisała prasa ogólnopolska. Okazał się rychło — jak ktoś złośliwy powiedział — teatrem wyobraźni. Dość często za to odbywają się imprezy zespołów objazdowych, będące często gościną skompromitowanych kolaboracją aktorów (Dymsza, Ortym, Szczepańska). Co jakiś czas przyjeżdża „Stary Teatr" z Krakowa, zresztą ze swym drugorzędnym repertuarem (ostatnio „Roxy"). Istnieje natomiast bardzo ciekawy teatr regionalny. Sztuk dostarcza miejscowa autorka M. Bachleda-Córuś, tańczą i śpiewają górale-amatorzy, gra góralska muzyka. Przedstawienie „Podłazy" było prawie wzorowym przykładem teatru ludowego. Pozbawione nudy, autentyczne, pełne humoru gwarowego i sytuacyjnego wydobytego sprawną reżyserią. Górale mają bardzo dużo swoistego dowcipu, który trzeba tylko umieć zauważyć i podkreślić. Oto jedna z zapamiętanych przyśpiewek:

Nimos ze to nimos,
jako diablu w pickle,
uzyje, upije,
usiedzi sie w cieple.

„Podłazy" są warte, aby pokazać je i poza Zakopanem. To dobra rozrywka dla wszystkich i pożyteczna szkoła dla ludzi sceny. Ale już o „Wieczornicy góralskiej PSL", gdzie piosenki regionalne niefrasobliwie przeplatały się z tangami i serenadami włoskimi, lepiej nie wspominać...

Radio transmituje audycje krakowskie. Inicjatywa kierownika dr A. Kaszyna zmierzająca do zorganizowania audycji lokalnych rozbija się o brak funduszów. Kino (jedno) posiada fatalną aparaturę — film rwie się co kwadrans.

W zakończeniu napiszę wreszcie o najpoważniejszym zakopiańskim ośrodku kulturalnym. To Muzeum Tatrzańskie, zbierające materiały etnograficzne tej ziemi. Prace prowadzi długoletni dyrektor dr Juliusz Zborowski.

Są również dwie wypożyczalnie książek doskonale zaopatrzone. Jest Czytelnia Miejska dysponująca, obok druków dotyczących Podhala, prawie kompletem czasopism z okresu neoromantyzmu polskiego. Natomiast prasa regionalna nie istnieje.

Może za spokojnie napisałem ten list? Może należało ostrzej wypomnieć Zakopanemu rozpanoszoną w nim grafomanię i tandetę? Ale czy to jest tutaj takie ważne? Wystarczy przejść się wieczorem w Dolinę Białego i zobaczyć odbitą na śniegu barwę nieba, zmierzchem coraz to inną. Zapomnieć można nie tylko o mieście, ale i o literaturze.

Stanisław Marczak-Oborski

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

Klerk, który przeżył wojnę*)



Julien Benda

Pozycja Juliana Bendy we współczesnej literaturze francuskiej jest odosobniona. Protestuje zresztą sam przeciwko zaklasyfikowaniu go do literatury w ogóle. A przecież nie stworzył żadnego systemu filozoficznego, był jedynie w opozycji wobec systemów istniejących. Myślał nie inaczej niż jemu współcześni, gdyż żadnej metody własnej nie wypracował; — myślał jedynie przeciwko wszystkim. (Niezwykłość i osamotnienie jego we Francji było tym większe, że w okresie międzywojennym był jedynym myślicielem, który się przeciwstawiał nurtowi germańskiemu, jaki we współczesnej literaturze i filozofii francuskiej płynie. Był jednym z tych nielicznych Francuzów, którzy chcieli nawrócić do tradycji ścisłości i precyzji, które się objawiły we francuskiej kulturze XVII wieku.) Napiętnował teraźniejszość, lecz nie proponował konkretnych zmian na przyszłość. Nie był więc również reformatorem. Miano klerka, które dla siebie wywołał z tych czasów, kiedy aktywność humanistyczna nie była zróżnicowana i kiedy „klerk" oznaczał myśliciela, artystę, proroka i sługę bożego, można by przełożyć na „moralistę", gdyby nie to, że Benda pozbawił się konkretnego terenu działania. Klerk w jego pojęciu to kapłan prawdy i dobra, to wtajemniczony, który ma strzec przed niewtajemniczonymi, laikami nieskażone źródło mądrości i sprawiedliwości oraz apostołować wiarę w wyższy cel człowieka. Benda-klerk poruszał się swobodnie wśród abstrakcyjnych koncepcyj, niezmienną miarę „wiecznej" prawdy i „wiecznego" dobra przykładał do aktów ludzkich. Głosił religię człowieczeństwa przeciwko religiom poszczególnych ludzi. W obronie człowieczeństwa przed człowiekiem Benda zachowywał się jak ktoś, kto utracił wiarę w Boga, a jeszcze mimo wszystko oczekuje cudu.

„Zdrada klerków", w której Benda przedstawił stan moralny i umysłowy ludzkości na przełomie XIX i XX wieku, była jedną z najbardziej wstrząsających książek dwudziestolecia.

Ukazał w niej wzrost namiętności politycznych, które stały się pierwszym i powszechnym uczuciem człowieka, oraz zaciążenie ich nad wszystkim, co ludzkie. Wniknął w mechanizm nacjonalizmu, który nie tylko zniszczył łączność między ludźmi, lecz również zburzył podstawy tej łączności w nauce, moralności i sztuce. Ujawnił — nikt chyba przed Bendą we Francji współczesnej tego tak dosadnie nie uczynił — prymat Niemiec w dziedzinie postępu barbarzyństwa myśli. Wskazał na „germanizm" jako na kierunek badań naukowych i normę moralną, rozprzestrzeniające się w świecie.

„Jeżeli — pisał w 1927 roku — zapyta ktoś, dokąd zmierza ludzkość, której każda grupa utwierdza się bardziej niż kiedykolwiek gwałtownie w świadomości swojego celu odrębnego, właśnie w jego odrębności, i słucha moralistów, którzy głoszą wzniosłość tego celu... dziecko mu odpowie: ludzkość zmierza do wojny najbardziej totalnej i najbardziej udoskonalonej, jaką świat widział..." („Zdrada klerków").

Lecz już środki, jakimi Julian Benda pragnął wówczas niebezpieczeństwo realne zażegnać, nie były z tego świata. Odwrócić uwagę ludzi od spraw doczesnych, wdrożyć w umysły pojęcie wiecznej prawdy, w serca — niezmienną normę sprawiedliwości, obalić poczucie wartości realiów... Benda apostołował ewangelię, o której Kościół oficjalny zapomniał. Chciał przede wszystkim nawrócić klerków, którzy zdradzili. Tych wszystkich myślicieli, uczonych i artystów, którzy swoją wiedzą i talentem służyli odrębnym celom narodowym, grupowym i przyczyniali się do tego, że człowiek utracił poczucie przynależenia do ludzkości. A zdradzili, jak stwierdzał, wszyscy. Przejęli się namiętnościami laików i pozbawili się czystości umysłu i bezinteresowności. Głosił wówczas konieczność izolacjonizmu intelektualnego. Czyż może dziwić, że był całkowicie osamotniony? Znalazł się przecież w opozycji wobec rzeczywistości i wobec czasu. Przyczyny stanu faktycznego upatrywał w skutkach: w zdradzie klerków. Lekarstwa na czas teraźniejszy szukał w przeszłości.

Lecz Benda to nie jakiś mistyk w rodzaju Bierdiajewa. To racjonalista odrzucający mity i religie. To intelektualista, który do średniowiecza poszedł tylko po tradycję klerkowską. A przygoda jego to dzieje myśliciela wychowanego na Grekach, Kartezjuszu i Spinozie, myśliciela, którego dręczył nadmiar odpowiedzialności. Odpowiedzialności za całą ludzkość.

„Ćwiczenie żywcem zakopanego" jest pamiętnikiem klerka, który przeżył wojnę. Zresztą w książce tej wojna wzmiankowana jest nie więcej niż trzy razy. Niemcy tyleż i opisowo tylko (jako ci, „o których się tak wiele mówi"). „Realia" i namiętności z tego świata ograniczone są do minimum. Książka pisana w latach 1940—1944, w małym miasteczku francuskim, gdzie się autor ukrywał, przedstawia wysiłki, jakie Julian Benda czynił, by nie zrezygnować ze swojego sposobu myślenia i aby mimo wszystko (a to nie mało znaczyło) wytrwać w świecie czystej myśli, gdzie bije nieskażone źródło mądrości i sprawiedliwości. „Ćwiczenie żywcem zakopanego" to spisane wspomnienia klerka, który wtedy, kiedy nie było stałego punktu na świecie, całą uwagę skupił na sobie samym. Jak sam powiada: „dzięki całkowitemu niemal osamotnieniu narzuconemu w ciągu czterech lat przez okoliczności i brakowi rozproszenia spowodowanego jakimkolwiek wezwaniem z zewnątrz, mogłem w ciągu tego czasu ćwiczyć umysł w całkowitej zgodzie z jego naturą i myślę, że posiadłem świadomość jej bardziej ścisłą niż kiedykolwiek."

Autor „Młodości klerka" w siedemdziesiątym trzecim roku życia wysiłek swój koncentruje w jednym kierunku: przedstawić swoją odrębność i raz jeszcze przeciwstawić się czasowi teraźniejszemu. A czas teraźniejszy to cała współczesna filozofia i literatura francuska.

Julian Benda przedstawia dwie namiętności, które go przez wojnę nie opuszczały: namiętność ścisłego myślenia i namiętność sprawiedliwości. Te namiętności są — jak powiada — powodem, dlaczego znalazł się w opozycji wobec wszystkich współczesnych myślicieli i pisarzy francuskich. Ani jednego sprzymierzeńca! Jest to większe oskarżenie klerków, niż kiedyś o zdradę.

Już w „Zdradzie klerków" Benda określił tendencję współczesnej myśli francuskiej tym zdaniem jednego z jej przedstawicieli (Karola Péguy): „poniżyć wartość poznania wobec wartości działania". Kartezjańskiemu „myślę, więc jestem" przeciwstawił dla charakterystyki „okresu bezmyślności" jego intelektualne hasło, bergsonowskie „działam, więc jestem". Trudno o bardziej lapidarne określenie. W „Ćwiczeniu żywcem zakopanego" przedstawia konsekwencje takiej postawy. A przede wszystkim swój wobec niej stosunek.

„Skłonnością mojego umysłu było zawsze dążenie do poznawania związków między rzeczami, a nie — rzeczy samych".

W zdaniu tym zawiera się filozoficzne stanowisko Bendy. Tu już jest to skrajność człowieka, który nie zawaha się później wyprowadzić z przeciwstawienia rzeczywistość — abstrakcja ostatecznych wniosków. Namiętność ścisłego myślenia zaprowadzi go aż do negacji zjawisk realnych dlatego tylko, że mogą one zatrzeć jasność pojęcia, jakie umysł o nich posiada. Bo tylko pojęcie jest dla Bendy ważne. Lecz stwierdzając: „umysł mój jest metafizyczny", Benda stawia tylko problem metody poznania, gdyż abstrakcja, nadnaturalność nie jest dlań bytem. Autonomiczny jest tylko umysł, który zjawiska poznaje. Zakłada autonomiczność umysłu i z całą świadomością dopuszcza błąd do swojego systemu myślenia. Czyniąc ten błąd, Benda obciąża nim wartość poznania lecz nie jego metodę. („Istotnie wiem, że przekonanie o autonomiczności mojego umysłu jest fałszywe; wiem, że umysł mój jest materią i że ulegnie on zniszczeniu wraz z moim ciałem. Lecz czyż ci wszyscy, którzy żyli przede wszystkim umysłem, nie popełnili tego samego błędu...? Serce każdego intelektualisty jest mniej lub bardziej spirytualistyczne".) Bo tylko metoda poznania jest ważna. Zawiera się w tym skrajne, bezkompromisowe przekonanie o nadrzędnej wartości intelektu. I tak też należy rozumieć bendowskie żądanie oderwania się od rzeczywistości. Nie po to, by zaprzeczając przeciwstawić jej jakąś naturę drugiego stopnia, gdyż Benda zaprzecza jedynie wartości innego poza umysłem poznania zjawisk realnych. Po to, by zachować w postaci nieskażonej jasność i ścisłość tego poznania.

„Jedną z cech mojego umysłu jest abstrakcyjność. Ona już nieraz w życiu postawiła mnie w sytuacji trudnej przez to, że skłonny byłem izolować zjawiska i zwracałem uwagę na te, które mi odpowiadały, a zapoznawałem inne towarzyszące tamtym w rzeczywistości, dlatego tylko, że były dla mnie kłopotliwe."

Wyznanie to jest poprawką całkowicie bezinteresowną do systemu. Nie narusza ona klerkowskiej metody. Ścisłość myślenia przede wszystkim! Prawidłowości wywodu nie może obalić jego niesprawdzalność. Asceta intelektu może się obyć bez rzeczywistości kontrolującej poznanie.

Trzeba zdawać sobie jednak sprawę, że postawa Bendy to postawa reaktywna. Namiętność czystego myślenia jest uwarunkowana koniecznością przeciwstawiania się współczesnym filozofom francuskim, którzy od Bergsona do egzystencjalistów rezygnują właśnie z nadrzędności intelektu. Żądanie oderwania się od rzeczywistości jest reakcją na skłonność współczesnej filozofii do „zespolenia się" z nią.

Benda jest w opozycji wobec współczesnemu filozofii francuskiej przede wszystkim dlatego, że celem jej nie jest poznanie, lecz „wyczucie", „ujawnienie", odkrycie" rzeczywistości.

„Przypuśćmy, że chodzi o poznanie temperatury płynu. Człowiek pozna ją przez odczytanie podziałki termometru, zwierzę — przez zanurzenie łapy; pierwszy pozna tylko jej znak, drugi — jej rzeczywistość. Dla mnie poznaniem wyższym jest poznanie człowieka, dla moich współczesnych — poznanie zwierzęcia. Pogarda, jaką mam dla nich, równa jest tej, jaką oni mają dla mnie."

Jeden jest tylko dla Bendy cel człowieka: poznanie. A jedynym środkiem poznania — umysł. Czyste „chcenie", czyste „dążenie", które zamiast czystego myślenia od Bergsona kształtują rozwój francuskiej filozofii, uważa Benda za rezygnację z inteligencji i podporządkowanie prawdy istniejącej obiektywnie ambicji, która nigdy nie będzie zaspokojona.

Tylko myśl jest czysta, wszystko inne jest skażone, sfałszowane. Poznawać można tylko umysłem, a jeśli są sprawy, zjawiska istniejące poza jego zasięgiem, to — stwierdza — niegodne są one zainteresowań człowieka. W zastąpieniu inteligencji przez intuicję, a metody naukowej przez emocję widzi Benda dowód niewiary w istnienie elementu stałego w świecie. A dla ascety ścisłego myślenia niewiara taka jest rezygnacją i upadkiem.

„U wielu ‚myślicieli' widoczny jest sceptycyzm salonowy i przez to samo wydają mi się oni godni pogardy. Pascal sprawia na mnie wrażenie wulgarnego dziennikarza, kiedy pisze: ‚filozofować, to znaczy wyśmiewać się z filozofii', albo Nietzsche: ‚drwią z każdego mistrza, który nie drwił z siebie'. Czyż drwił z siebie Descartes? Czyż drwił z siebie Kant? Jest w tym postawa romantyczna, która zyskuje uznanie publiczności niechętnej wszystkiemu co serio i która poniża wszystkich, co ją przyjmują bez względu na ich wielkość.

Wydaje mi się, że podobny pogląd jest natchnieniem całej filozofii nowoczesnej, kiedy przeczy ona (Bergson, Brunschvicg, Bachelard) istnieniu stałego elementu w naturze myślenia i stwierdza ustawiczną zmienność tej funkcji. Doktrynę tę uważam nie tylko za fałszywą, lecz również, widząc w niej objaw dandyzmu intelektualnego, za niską moralnie."

Tylko myśl jest czysta. Od stanu jej czystości zależy stałość i ścisłość naszego poznania. Postulatem Bendy, postulatem klerka, który przeżył wojnę, jest: zachować czystość myślenia i wyrzec się wszystkiego, co czystość tę mąci.

Jest coś niesamowitego w tym wyrzeczeniu, w tym trwaniu na straży czystości funkcji intelektu wtedy, kiedy realia, kiedy rzeczywistość na każdym miejscu kuli ziemskiej były przeciwko niej. I trzeba stwierdzić, że wysiłki Bendy, by zachować w stanie nieskażonym źródło prawdy i dobra, nie były na miarę wysiłków człowieka. Doskonałość, jaką osiągnął, to już doskonałość absurdalna. Tak, gdyż Benda doprowadził klerkizm do absurdu. Już nie poznanie rzeczywistości jest ważne, ważny jest tylko aparat poznający. Chrońmy go, abstrahujmy od życia, od realiów, od rzeczywistości. Niech naszą jedyną ambicją będzie sprawne i precyzyjne funkcjonowanie aparatury. Wszystko, co jest poza nią, nie jest ważne. Antyutylitaryzm intelektualny Bendy nie jest tylko skrajną konsekwencją antypragmatyzmu, to w ogóle zaprzeczenie związków myśli z życiem, nauki z rzeczywistością.

Klerk zrezygnował z apostolstwa, z oddziaływania wychowawczego na ludzkość. Oczekiwanie udoskonalonej i totalnej wojny spełniło się. Już nic gorszego się nie stanie. Jedynym zadaniem klerka, który przeżył tę wojnę, jest strzeżenie metody myślenia. Bo tylko metoda się liczy.

„Czczę wiedzę — powiada Benda — za jej metodę, nigdy za rezultaty. Nie obchodzi mnie wiedza stosowana i powiedziałbym chętnie za Sokratesem, że astronomia ujmę sobie czyni, przynosząc pożytek rolnictwu i żegludze".

Klerk, który przeżył wojnę, stał się wyznawcą najbardziej aspołecznej ideologii, jaka istniała.

Namiętność ścisłego myślenia sprawiła, że nawet człowiek jest dla Bendy znakiem tylko, pojęciem czystego umysłu. Benda powiada wyraźnie, że humanista nie może być humanitarny. Humanitaryzm to dostrzeganie konkretnych bólów, to widzenie jednego człowieka. Humanista musi ogarnąć całą ludzkość. A klerk właśnie ma być czystym, bezkompromisowym humanistą. Dlatego i kategorie moralne Bendy to normy nieomal matematyczne, suche, nieprzystosowalne. Sprawiedliwość i niesprawiedliwość są dlań dwoma równoważnymi i równowartościowymi elementami rozwoju ludzkości. Między rzeczywistością a miarą dobra najwyższego, którą do niej przykłada, rozlega się jakaś przestrzeń nieludzka, przestrzeń kosmiczna.

Bendowska namiętność sprawiedliwości jest namiętnością czysto teoretyczną. Benda nie dostrzega aktów ludzkich, nie proponuje żadnej ludzkiej normy moralnej. W jego koncepcji moralności człowiek równie małą rolę odgrywa, jak w jego systemie myślenia — rzeczywistość. Sprawiedliwość istnieje dlań jako czynnik stały, wieczny. Benda nie podaje jednak żadnej ludzkiej drogi, jak można do niej dotrzeć.

Jak umysł jego, tak i sumienie jest metafizyczne. Nie ma dlań aktów złych ani dobrych, jest tylko ich pojęcie. A pojęcie może być tylko ścisłe lub nieścisłe, jasne lub niejasne.

Dla tego wielbiciela ładu i jasności zjawiskiem niemoralnym jest przede wszystkim brak konsekwencji między aktem a zasadą, która ten akt normuje. Chciałoby się powiedzieć, że niesprawiedliwość jest dlań wtedy tylko źródłem nienawiści, gdy jest niemożliwa do przewidzenia umysłem.

„Moja religia logiki sprawia, że odczuwam szacunek dla poglądów politycznych, najbardziej dla mnie wstrętnych, jeśli tylko wprowadzone są w życie zgodnie z własną naturą..."

Podziw ogarnia, że Benda zdobył się podczas tej wojny na taką bezinteresowność i beznamiętność. Tak, gdyż namiętność Bendy nigdy nie była mniej skonkretyzowana. Asceza intelektu doprowadziła go do negacji, a asceza odczuwania do nienawiści zjawisk realnych.

„Nienawiść niesprawiedliwości... doprowadza do nienawiści wszystkiego co istnieje, dlatego że wszystko, co istnieje, związane jest z ideą jednej rzeczy, która otrzymała życie pośród nieskończoności innych, którym się to nie powiodło, chociaż miały do tego równe prawo; to znaczy: wszystko zawdzięcza swój byt idei niesprawiedliwości, tak, że prawdziwa sprawiedliwość istnieje tylko w nicości".

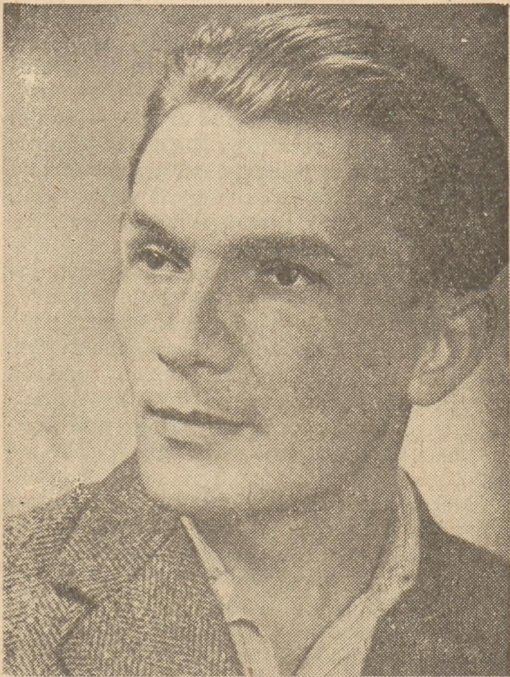
Trudno nie wypowiedzieć refleksji, że dla klerka, który tak przeżył tę wojnę, nie ma już miejsca na ziemi.

Zbigniew Bieńkowski

*) Julien Benda. Exercice d'un enterré vif. (Juin 1940 — Août 1944). Éditions des Trois Collines (Genève—Paris). 1945.

KAZIMIERZ WYKA

Powieść o żołnierskiej gromadzie



Tadeusz Hołuj

Tadeusz Hołuj. Próba ognia. Powieść. (Kraków), 1946, „Czytelnik"; str. 278 i 2 nl.

MIĘDZY „KORDIANEM i CHAMEM" A „KUŹNIĄ"

Debiut powieściowy Tadeusza Hołuja jest z rzędu tych, przy których ocenie należy przede wszystkim ustalić miejsce debiutu pośród pokrewnych gatunkowo utworów. Dwie są głośne powieści, z którymi graniczy „Próba ognia". Z pierwszą we względzie społecznym: „Kordian i cham" Kruczkowskiego. Z drugą we względzie artystycznym: „Kuźnia" Choynowskiego. Powieść Hołuja napisana jest niewątpliwie w cieniu tych dwóch książek i dlatego przede wszystkim należy określić jej odrębność.

Trudno dzisiaj przejść obok tematu powstania listopadowego, by się nie otrzeć o Kruczkowskiego, szczególnie jeżeli pisarz zajmuje tę samą postawę społeczną. „Próba ognia" stanowi przeto, tak w tej postawie jak w przebiegu akcji, jak gdyby dalszy ciąg „Kordiana i chama". Łączy te dwie powieści ten sam problem główny — u Kruczkowskiego miejsce chłopa w okresie przedpowstaniowym, u Hołuja tak samo ideologicznie i społecznie wyznaczone miejsce w okresie powstania. Lecz to podobieństwo wyczerpuje się wyłącznie w problematyce społecznej.

Artystycznie książka Hołuja przedstawia odmienny typ prozy. W stylu Kruczkowskiego było jeszcze wiele poetyckiego nalotu i stylizacji dziedziczonej po Żeromskim. Mimo dokumentarycznego i społecznego zakroju „Kordian i cham" był w konstrukcji swojej powieścią o bohaterze indywidualnym. Reprezentatywnym, znamiennym dla budzącej się świadomości klasowej chłopa, ale przecież — indywidualnym. „Nauczyciel wiejski Deczyński i jego pamiętnik. Inna jest proza Hołuja: całkowicie lapidarna i męska, wyzuta z jakiejkolwiek ozdoby, pozbawiona wyraźnego wzruszenia czy poetyczności. Nie w jednej też reprezentatywnej postaci wyraża się akcja „Próby ognia", lecz w całej gromadzie podobnych sobie ludzi.

Powieść ta spokrewniona jest bowiem także z inną tradycją stylistyczną. Spokrewniona jest z naturalizmem, który — jeżeli chodzi o naszą powieść historyczną — kulminuje w „Kuźni" Choynowskiego. Ale Choynowski dlatego był beznamiętnym naturalistą, dlatego nikogo z bohaterów nie wysuwał na plan pierwszy ponieważ nie sugerował żadnej postawy ideologicznej. Naturalistą w tym sensie nie jest Hołuj. Właśnie dlatego zawiera się w jego prozie wiele „ustępów takich, dla których formuł stylu nie ma" (Norwid), ponieważ styl tej książki rodzi się z jej ideologii, ponieważ całkowicie jest posłuszny społecznej i żołnierskiej wizji autora.

ŻOŁNIERSKA GROMADA

Wskazane podobieństwa powieść Hołuja rozwija w sposób całkowicie samodzielny. Rozwija w najbardziej centralnym tak ideowo, jak artystycznie miejscu i sądzę, że w tym się mieści jej główna wartość. Chodzi o to: niezaprzeczoną tezą historiografii polskiej jest twierdzenie, że przyczyną upadku powstań narodowych było niepowiązanie sprawy narodowej ze sprawą chłopską, że był nią egoizm klasowy szlachty. Rzeczą artysty, gdy z tym poglądem się zgadza, jest unaocznienie go takie, by teza myślowa przestawała być tezą tylko, a obrosła faktami epoki, spowiła się w psychologię ówczesnych ludzi, w ich rozeznanie społeczne w otaczającym świecie.

Hołuj jest pierwszym, który przeprowadza tę tezę od wnętrza **zbiorowości chłopskiej.** Bohaterem tego utworu jest gromada, dokładniej: 4 pułk piechoty Bogusławskiego, jeszcze ściślej — żołnierski i podoficerski zespół kilku ludzi, wywodzących się z tej samej okolicy. Wieś Lipki Małe. Najczęściej myśli lub przemawia za nich Mateusz Borek, ale kiedy Borka brakuje, czyni to za niego w całkiem podobny sposób każdy towarzysz z pułkowego szeregu. Domagała, Mróz, Kuczaba, Łabudziak. Autorowi powiodło się przeprowadzić konsekwentnie to spojrzenie na powstanie oczyma kilku prostych ludzi, w miarę nieudolnego przebiegu walk dochodzących do przekonania, że przyczyny zawodów i niepowodzeń powstańczych są całkiem proste: niechęć do pełnego ryzyka politycznego i narodowego ze strony tych, których nie stać na ryzyko społeczne.

Takie i to udałe postawienie bohatera zbiorowego jest nowością w naszej powieści historycznej na tematy powstań. Książka Hołuja nie stanowi powieści czysto ideologicznej w tym sensie, że nie wyraża się w dyskursach, w rozprawach nad swym właściwym przedmiotem — chłopem. Jest realistyczną i szczęśliwie przeprowadzoną rekonstrukcją prawdopodobnego odbicia wypadków listopadowych w duszach ludzi prostych, rozumujących tylko według swoich doświadczeń.

POŻYTKI Z GROMADY

Chłopi Hołuja bynajmniej nie przychodzą do sprawy powstania z nastawieniem od razu gotowym i niechętnym. Gdyby ich tak pisarz przedstawił, byłby to doktrynerski błąd. Hołuj przedstawia właśnie w sposób bardzo konsekwentny narastanie zbiorowej świadomości tej gromady chłopsko-żołnierskiej. Zrazu są to u niego po prostu żołnierze, pragnący pełnić swój obowiązek. Pod koniec Nocy Listopadowej, gdy zaczyna się walka z Wołyńcami, tak to odczuwa Borek: „Tu nie było nikogo prócz żołnierzy i innych spraw prócz żołnierskich. Nie trzeba było na nic czekać, złościć się tak, jak pan porucznik, chyłkiem wykradać się, łazić po mieście, biegać jak kot z macherzyną. Teraz powinnością było tylko bić się. Nareszcie. Nareszcie skończyło się to wszystko, te szopki z rewolucją, pożarami, które nie wybuchały, szukaniem wodza po teatrach i kawiarniach. Teraz przyjdzie pan kapitan, da rozkazy i wszystko będzie dobrze".

W tych ludziach poczucie krzywdy społecznej tli całkiem słabo i zrazu bynajmniej nie łączy się ze sprawą powstańczą. Dopiero w miarę rozwoju wypadków dostrzegamy, jak ich doświadczenie życiowe i uczestnictwo własne w nieudolnych poczynaniach wodzów poczynają się splatać, a z tego splotu wyrasta świadomość, że między chłopskim losem a daremnym trudem żołnierskim istnieje spójnia. Spójnia, która właśnie od tego losu się wywodzi. Tym więcej się to udało Hołujowi, że umiał podpatrzyć i zachować w ciągu tego wzrastania świadomości pewien zasadniczy rys psychiki chłopskiej: nieufność i rezerwę.

„Boicie się wojska? (zapytał Borek). — E, zaś by tam, ale wolejby nie iść. Pójdę ja, to żona i dzieciaki ręce se za mnie po łokcie urobią na pańskim, dość jest biedy... My tam za carem nie jesteśmy, ale gadają, że car chciał dać ziemię, a panowie nie dali i o to wojna poszła. Cóż my z niej mamy. Żeby chociaż sól tańsza była... źle jest, źle zawsze biednemu narodowi... My tam nieufne. Zresztą nie nasza rzecz — jak będzie, to będzie. Dałby Bóg, żeby lepiej, a nie gorzej".

Stąd pierwsze etapy dojrzewania różnic pomiędzy żołnierzami a oficerami niewiele mają wspólnego z ideologią społeczną, ale są po prostu żołnierskie. O świcie 30 listopada pułkownik Bogusławski przyjeżdża do pułku i czyni mu gorzkie wyrzuty. „Honor pułku splamiliście". Borek zaś tak to rozumie: „Borek już wiedział: oni, szeregowi, nie boją się, oni chcą się bić. Oficerowie wstrzymują, oficerowie boją się".

Dopiero zwolna, mozolnie wykluwa się świadomość szersza. Zawsze jednak w sposób jednoczesny i przez to realistycznie prawdziwy, tak że nie rozpoznasz, co w tym wcześniejsze; czy niespełniona nadzieja żołnierza, czy chłopa. „Sprawy, które go otaczały, były za ciężkie, za ciemne (rozmyśla Borek). Mówili wprawdzie, że ziemię dawać będą, ale wierz tu komu, mówili przecież także, że Moskali raz dwa pobiją, a nic z tego nie wyszło".

Skalę reakcji prostych ludzi wygrywa Hołuj w szerokim rozmiarze, zawsze w zgodzie z odruchami psychologicznymi grupy, odmiennymi aniżeli reakcja indywidualna. Przede wszystkim daje się to sprawdzić w obrazie chaotycznej, pełnej przypadkowych działań Nocy Listopadowej, zwłaszcza w jej dwu momentach. Jeden to wyruszanie, cofanie, znów wyruszanie z koszar pułku, gdzie okazuje się, że ostatecznie nie jakiś poryw ideowy każe iść żołnierzom, ale gest rozwścieklonego sierżanta Muchy. „Mieli dosyć tej zabawy w chowanego". Drugi to szukanie wodza, odbite z bardzo zabawną ironią w umyśle Mateusza i przez to odbicie sugerujące ocenę tej chaotycznej, do niczego niepodobnej nocy a zarazem ocenę całego powstania: „...pognał oddziałek Mateuszowy na ulicę Miodową, do Honoratki Cymermanowej, młodej osoby prowadzącej popularną w Warszawie kawiarnię. — Aha, to tu szukać będziemy wodza — pomyślał Borek, dziwiąc się tym nocnym wędrówkom po mieście za wodzem, który powinien być przecie przy wojsku nie tak jak ten Chłopicki na teatrze. Pewno go nie zawiadomili, a teraz szukać muszą po całej Warszawie, może zresztą generałowie pouciekali do Konstantego i zabrali ze sobą wodza, kto wie..."

Tak pojęta psychologicznie i tak przeprowadzona artystycznie sprawa świadomości żołnierskiej i chłopskiej gromady stanowi centralne zagadnienie i niewątpliwą nowość „Próby ognia".

CZŁOWIEK SIĘGA DO SIERŻANTA

Wynikają z tego założenia dalsze specjalne i ciekawe cechy omawianej powieści. Najpierw bardzo konsekwentny podział postaci na te, które autor obdarza pełnym życiem wewnętrznym, które bada za pośrednictwem analizy ich przeżyć, oraz te, które jedynie są oglądane, rozpatrywane od zewnątrz. Człowiek u Hołuja sięga do sierżanta. Pełnym życiem wewnętrznym obdarza on postaci od szeregowca do sierżanta. Wyżej zaczyna się świat, jeżeli nie kukieł poruszających się według praw nieznanych prostym ludziom, to przynajmniej świat, któremu nigdy autor nie zagląda w psychikę, przedstawiając go wyłącznie w sposób behaviorystyczny, przez obserwację postępków i zachowania zewnętrznego. Jedyny człowiek pełny powyżej sierżanta w tej powieści to porucznik Jurzyna. Ale on jest potrzebny jako łącznik pomiędzy światem słuchających a wydających rozkazy.

Nie chcę przez to powiedzieć, ażeby świat wydających rozkazy był u Hołuja fałszywy artystycznie, płaski i jednowymiarowy. Pisarz na tej zwężonej przestrzeni porusza się pewnie. Przykładem trafna postać kapitana Krupskiego, kilkoma rysami unaoczniona sylweta Skrzyneckiego i in. Podkreślam jedynie, że „Próba ognia" jest konstrukcją bardzo konsekwentną zarówno ku wnętrzu zapełniającej ją gromady żołnierskiej, jak na zewnątrz tej gromady. Reszta ludzi ukazana jest tak, jak musiała się przedstawiać tej grupie; jako osobnicy, o nie całkiem wiadomych motywach psychologicznych, osobnicy, od których dociera tylko rozkaz, ale którzy sami pochodzą z innego brzegu psychologicznego i społecznego. W ten zaś sposób, znowu bez jakichkolwiek wkrętów doktrynalnych, rekrutacja społeczna ówczesnego wojska polskiego zostaje ujawniona w samej budowie artystycznej utworu: żołnierz i podoficer, który był chłopem, oficer, który był szlachcicem. „Próba ognia" w całości się rozgrywa w świecie pierwszym i w jego odpowiednikach mieszczańskiej Warszawy, które reprezentuje przede wszystkim majster Szydłowski.

POLAMI BITEW

Dzięki temu związaniu akcji z dziejami żołnierskiej gromady Hołuj mógł równocześnie swobodnie a konsekwentnie ułożyć swoją powieść według głównych wydarzeń powstania listopadowego. Od Nocy Listopadowej do przejścia granicy pruskiej, oto prosty schemat książki. Schemat tym widoczniejszy, że sceny otwarcia i zamknięcia powstania napisane są ze specjalnym przesunięciem akcentów. Nie istnieje w tej powieści patos Nocy Listopadowej. Usunięty został na rzecz bieganiny, chaosu, niepokoju. Cały nieszczęsny przebieg naszych powstań skomprymowany został w tak napisanych dziejach tej nocy. Jak je widział pułk czwartaków. Niczym ponura zapowiedź zwisa nad świtem powstania. Natomiast scena przekraczania granicy pruskiej nakreślona jest z dużym wkładem hamowanego patosu; wzrusza i tym również, że ta tragiczna scena po raz pierwszy została u nas upostaciowana powieściowo.

W schemacie „Próby ognia" nie brakuje przeto żadnego z głównych faktów powstania. W tym sensie powieść Hołuja jest książką historyczno-polityczną, pozbawioną elementów akcji indywidualnej. Tylko w jednym momencie nawiązuje się taka akcja: kiedy Borek z ukradzionym sierżantowi Musze złotem dostaje się do domu bankiera Jelsza. To odejście akcji od dziejów kompanii znów jednak na swoisty sposób służy głównej zasadzie powieści: dostrzegamy przez nie udział finansjery międzynarodowej w kulisach powstania, tajne nici antywolnościowe idące z tych kół.

Dzieje walczącego pułku stają się więc przede wszystkim historią bitew powstańczych. „Próba ognia" to książka batalistyczna. Grochów, Dębe Wielkie, Ostrołęka, wyprawa na gwardie, walka o Wolę, to zarazem główne węzły samej powieści. O ile się orientuję, wierność przedstawienia historycznego jest w tych opisach bitewnych daleko posunięta, cała zresztą powieść czyni wrażenie bardzo autentycznej i dobrze osadzonej w dokumentach. (Przypuszczam, że nie zbraknie historyka, który to oceni) Ale ta batalistyka Hołuja posiada specjalny i świadomy wyraz literacki i swoją tradycję. Staje po stronie opisów batalistycznych, które w walce dostrzegają chaos, wysiłek, straszliwe zmęczenie, ponurą zaciętość — opisów, których linia rozpoczyna się od słynnego malowidła bitwy pod Waterloo w „Czerwonym i czarnym" Stendhala, od pamiętników starego subiekta w „Lalce", szwajcarskich wypraw w rzeczy „O żołnierzu tułaczu" Żeromskiego. Linia przeciwstawna batalistyce typu sienkiewiczowskiego, w dzisiejszej prozie — chociażby u Żukrowskiego — również aktualnej.

Hołujowi szary i ponury, krwawy i męczący wysiłek żołnierza udało się pokazać z dużą prawdą i konsekwencją. Tym to ujęcie wydaje się trafniejsze, że ono właśnie pogłębia i uzasadnia dojrzewanie świadomości w żołnierskiej gromadzie. Błędy i chwiejności wodzów nie odbijają się w umysłach żołnierzy, jako jakieś dalekie fakty ideologiczne. Odbijają się setkami, nie wiadomo po co tam i sam przemaszerowanych, kilometrów, odparzoną stopą i niepotrzebną raną. Od odparzonych stóp idzie wprost kontakt myślowy do mózgów Borków, Mrozów i Łabudziaków, a ten kontakt właśnie dzięki zastosowaniu batalistyki realistycznej nigdy się nie przerywa w „Próbie ognia". Do cna wypala się w tej próbie ognia gotowość żołnierza, na inne próby i pojęcia nastawia się jego gotowość myślowa i społeczna.

ZGRZEBNA PROZA

Wynikiem a zarazem współczynnikiem tych wszystkich założeń „Próby ognia" jest wiodący w tej powieści gatunek prozy i stylu. Gatunek bardzo niewdzięczny i trudny dla pisarza, czytelnikowi nie dający żadnych ułatwień przy lekturze, ale gatunek który właśnie dlatego należy mocno podkreślić, jako niewątpliwą zdobycz artystyczną Hołuja. Jest to styl uległy głównym zamiarom pisarza, styl, który sam nigdy się nie wybija. Hołuj buduje powieść w sposób równomierny i zawsze w tym samym tempie obrazów. Nie napotykamy u niego zbliżeń obrazów, zwolnień akcji, efektownego rozkładania akcentów, przez które dopiero wypadki poczynałyby nabierać znaczenia. Sensy zdarzeń narastają równocześnie z ich powstawaniem, powieść wyzbyta jest wszelkiego efektu czysto wzruszeniowego, czy też poetyzowania, czy opisu przyrody. Szczególnie uderza powściągliwość w opisie przyrody, znów tym uzasadniona, że gromada chłopska nigdy nie zajmuje wobec świata stosunku kontemplatywnego i estetyzującego. W takim równym tempie zdarzeń zawierają się u Hołuja niewątpliwe związki z naturalistycznym stylem powieści historycznej.

Jako całość proza Hołuja jest zgrzebna. Epitet zgrzebna posiada dzisiaj wydźwięk ogranej poetyczności młodopolskiej — ot, chociażby zgrzebne pieśni, zgrzebna kantyczka. Używam tego przymiotnika w jego najbardziej rzeczowym znaczeniu. Płótno zgrzebne jest najmniej efektowne, ale najtrwalsze i nadaje się do każdej usługi rzeczowej. Nie głaszcze po grzbiecie, ale i nie targa się pod dużym ciężarem. Proza „Próby ognia" posiada te same właściwości. Jest całkowicie przymierna do zasięgu przeżyć żołnierskich, do surowej doli ówczesnego chłopa.

Od którejkolwiek więc strony spojrzeć, „Próba ognia" jest debiutem udałym, który w równej mierze staje w tradycji postępowej powieści historycznej naszej, co tę tradycję uzupełnia i rozwija dalej. Jest debiutem konsekwentnym w pełni, jeżeli chodzi o budowę powieści. Od centralnego miejsca gromady żołnierskiej, od narastania jej świadomości na polach bitew po wygląd stylu nie ma w tej powieści cech artystycznych, które by się ze sobą kłóciły. Jednolita w postawie społecznej pisarza, realistyczna, nie doktrynerska w ujawnieniu tych odczuć społecznych, które mogły być dostępne prostym ludziom z lat powstania listopadowego, „Próba ognia" wytrzymuje próbę krytycznego tygla.

Kazimierz Wyka

W poprzednim (67) numerze „Odrodzenia" z dnia 10 marca: **Franciszek Gil:** Żniwo wielkiej reformy. Ziemia, ziemia... — **Julian Przyboś:** Przeloty. Wzdłuż Wisły. Kołysanka. — **Jerzy Pytlakowski:** Dwadzieścia cztery godziny śmierci. — **Celina Bobińska:** W stulecie Rewolucji Krakowskiej — Malarstwo polskie (**Aleksander Kotsis:** Stary młyn). — **Eugeniusz Warga:** Angielsko-amerykański układ finansowy. — **Adam Mauersberger:** Dwie książki wspomnień o Krakowie — **Wacław Kubacki:** Dokształcające kursy dla literatów. — Piękne przedstawienie „Elektry" Giraudoux w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi. — **sfl:** Kronika angielska. — **Artur Sandauer:** Czas — to pieniądz — **zb:** Przegląd prasy. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — **Marian Promiński:** Kronika filmowa. — Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie wystawił sztukę Tadeusza Brezy i Stanisława Dygata pt. „Zamach". — „Dwa teatry" Jerzego Szaniawskiego (**Kazimierz Brandys, Stefan Otwinowski**) — **js:** Stąd — dotąd. — Korespondencja (**Bolesław Dudziński, Henryk Ligęza, T. K. Sowicki**). — 9 ilustracji. — 12 stron.

Kraj niemych

„To proszę pana, 17 lipca było. Prowadził nas Niemiec do żniwa. Moja Hanka trochę słabowata, a tego dnia była całkiem do niczego. Cóż, dziewczyna z dziecka w pannę się przeobrażała, a przecież wiadomo, że w takiej porze nie wolno gnać kobiety do roboty. No i szły my se tak po łące, co kwiecia i zapachu była pełna, gdy wtem z wysoczyzny dobiegł nas złowrogi pobrzęk samolotów. Padłam na ziemię i leżałam przyciśnięta do murawy malutką chwileczkę, bo porwał mnie na nogi podniesiony głos strażnika, co pięściami nad moją Hanką wytrząsał. Niedobrze słyszałam, czego właściwie chciał od niej, tylko naraz w oczach zrobiło mi się ciemno, bo ten drań podniósł liworwer na moje dziecko. Ludzie na świecie! Patrzę, a Hanka słania się i klęka... Zabił zbój dziewczynę powiadając, że ona niby „szpion" była i dawała znaki samolotom sowieckim"...

Słucham opowieści zbolałej matki i zanim zdałem sobie sprawę z ogromu jej krzywdy, skupia mą uwagę inna relacja, składana przez zgrzybiałego chłopa, który bezzębnymi usty mamrocze:

„Wywiedli ich, pono z Przasnysza i aż tu kole Grunwaldu przyprowadzili. Było 112 chłopa, od dwunastolatków aże do starców. Za tym jeziorem, które nikiej zwierciadło się świeci, powiązali im ręce kolczastym drutem, gęby pozalepiali gipsem, a potem jak psów ich postrzelali. No i tak to było z tymi, co ich aże tu wpodle Grunwaldu przywlekli".

„Grunwald".

Pole puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne, na którym głaz granitowy potomkowie krzyżactwa ustawili, kłamiąc napisem, że tu odbyła się walka o niemieckość, o niemiecką ojczyznę, o zagrożone chrześcijaństwo.

„Grunwald".

Słowo z brzmienia niepolskie, którego jednak nie chcielibyśmy utracić w słowniku naszym. Gdyby ktoś zamierzał z mapy ziem polskich wymazać wszelkie niemieckie nazwy, Grunwaldu tknąć by się i przeinaczać nie ważył.

Grunwaldu a krom niego jeszcze: Westerplatte. Słowa te, pisane czy brzmiące, będą zawsze hasłem, rozkazem, zapowiedzią na baczność — a zarazem jest w nich jakaś podnosząca pobudka „sursum corda", uczucie zasłużonej dumy i moc krzepiąca do wysiłku nad ludzką miarę.

A jeśli sama nazwa Grunwaldu nas krzepi, to jakimże okiem winniśmy patrzeć na te całą ziemię, którą jakieś krzepkie acz niewidzialne nici wiążą z polską ojczyzną sprawiając, iż jest ona raczej czymś w rodzaju przedsionka Polski lub przybudówki, aniżeli budowlą w stosunku do niej odrębną.

Gdy mam pisać o tej ziemi, winienem zacząć od ciężkiego oskarżenia, skierowanego przede wszystkim pod adresem literatów. Bo ziemia mazurska jest jedyną z ziem odzyskanych, o której się dziś bardzo mało mówi, a jeszcze mniej pisze. Gdy ziemie położone w dorzeczu Nysy i Odry łącznie z Pomorzem Zachodnim posiadają dobrą „prasę" i jest o nich głośno, gdy przeorują je lemieszem reportażu nie tylko zwykłe dziennikarskie podjezdki, ale również i przede wszystkim pisarze o głośnych nazwiskach, to na ziemię mazurską patrzymy jedynie przez pryzmat „Tropów Smętka", zachowując o niej i jej sprawach głuche milczenie.

Czyżby tedy nadal miały być prawdą twierdzenia niemieckiego publicysty, Ernesta Wiecherta, który w 1927 roku dziwnie jak na Niemca spostrzegł, że znamieniem tej ziemi jest to, „że nad ziemią ciąży milczenie śmierci i poezja nie wyrażona słowami, muzyka niewyśpiewana, obrazy — które nie były namalowane. Wśród ludu naszej ziemi mamy niezwykłe twarze, szczególnie wśród tych najmniejszych i najbardziej poniewieranych. Milczą oni, a milczenie to będzie wieczne" W czym tkwi przyczyna tego milczenia? „Nic to nie znaczy" — odpowiada Wiechert — „że wokoło nas kościół i dom, wóz i pług są podobne do tych, które spotykamy w ojczyźnie reszty Niemców. Jest to bowiem tylko szata ozdobna oraz szminka na obliczu cywilizacji i nic więcej. Wszystko to nic zda się na nic, gdyż poza tym wszystkim, co zostało zniekształcone, stoi to, co zniekształcić się nie da: wieki trwająca ziemia obmyta falą, nabrzmiała łzami. W jej słowie śpią zasypane wsie, śpi jantar, pamiętający ogrody Edenu, śpi krew niezliczonych szczepów, ludów... Ci jednak, co patrzą do dna źródeł, widzą wciąż oblicze to tragicznie smutnej ziemi — zobojętniałej — jak za kratami — w głębokiej melancholii, widzą oni oblicze wschodu — Słowiańszczyzny!"

A o tej Słowiańszczyźnie, rozpostartej na wschód od dolnej Wisły, niesposób mówić bez ściskającego krtań żalu i wzruszenia. Osnową dziejów całej tej ziemi jest głównie teutoński podstęp, zdrada, niespodziewana napaść i krwawa rzeź. Wszak w tym „kraju tysiąca jezior", bezpośrednio przylegającym do serca Rzeczypospolitej, stanowiącym dalszy ciąg lasów Augustowskich, puszczy Kurpiowskiej, borów Tucholskich oraz siedzib bratnich Kaszubów, w tym to kraju, jak pisze Żeromski, „urodziła się jędza przemocy, wyćwiczyły się wszystkie walki, które kulę ziemską ogarnęły i wszystkie ludy pociągnęły do boju", aby w końcu owa jędza zdechła pod ciosami bitnej Armii Radzieckiej.

Tu przecież wytrysło źródło natchnienia tragicznego poematu o Jurandzie ze Spychowa. Tu, na tej ziemi, u bram Szczytna Sienkiewicz umiejscowił scenę, przechodzącą miarę ludzkiej wyobraźni, ludzkiego serca i ludzkiej męki. Los Juranda to symbol losu 300 tysięcy Mazurów, podobnie jak i Jurand niemych mieszkańców zaniemiałego kraju.

Kto są ci Mazurzy? Skąd ich ród?

Dawno temu, bardzo dawno, między siedzibą bałtyckich Prusów a polskim Mazowszem istniała rozległa puszcza, dziewicza a niemal bezludna połać, obfitująca w żubry, dziki, łosie, niedźwiedzie i dzikie konie. W tę puszczę wtargnął ławą mazowiecki osadnik zamieniając ją na kraj zaludniony. Kraj ten, odkąd przestał być dziką głuszą, był zawsze polskim krajem, o czym świadczą rdzennie polskie nazwiska rodowe oraz nazwy miejscowości i wód.

Weźmy chociażby liczne nazwy folwarków niemieckich zwanych „dobrami rycerskimi", np. w powiecie łuczańskim: Borken, Czerwonken, Imionken, Malinowken, Ogrodken; przypatrzmy się przezwiskom pojedynczych niw, zakątków leśnych, potoków lub wyniosłości, jak Rydzki, Zagon, Wypychowa, Piątek, Bubrówki, Kociołki; zapoznajmy się z nazwiskami tubylców — z Batockimi, Skowronkami, Kosinami itp., a stwierdzimy, że ziemie te, stojące pustką po wyparciu szczepu prusolitewskiego, skolonizował i zaludnił żywioł polski, rasowo prawie w całości reprezentujący typ słowiański, a wraz z tym także jego psychologię i uzdolnienia. Z faktu tego skolonizowania wynikają nieprzedawnione prawa polskie do całego Pojezierza Mazurskiego. Wiadomo przecież, iż rdzeń zaludnienia Polski znajdował się na prawym brzegu Wisły, pomiędzy Zakroczymiem a Płockiem i stamtąd kierował się ku północy. Wojciech Kętrzyński w rozprawie „O narodowości polskiej w Prusiech" wykazuje, że od wieków najgęściej zaludniona była w Polsce ziemia płocka i z niej nigdy nie ustającą strugą płynęły na południe Prus Wschodnich fale osadników słowiańskich. W tej fali posiadamy świadectwo o dyktowanym przez same warunki geograficzne dążeniu Polski ku morzu; nie była to konsekwentna akcja państwowa, przeciwnie, naturalny, indywidualny ruch ludności, który sprawił, że już w szesnastym stuleciu większość Prus Wschodnich — to kraj szczerze polski.

Na tym obszarze, jak świadczą przechowane do dziś dnia, mimo niszczenia, pamiątki polskie, nie importowane, nie sztuczne, lecz ściśle z ziemią związane — różnice kulturalne, zaznaczające się po obu stronach granicy, przedstawiały się tak niewyraźnie, że polskość w tych stronach wręcz przelewała się poza ramy państwowego skupiska.

Tu przecież w 1546 roku powstała w Ełku pierwsza szkoła średnia z polskim językiem wykładowym, który dopiero po dwu stuleciach zyskał prawo obywatelstwa w uczelniach Rzeczypospolitej! Tu powstało pierwsze polskie czasopismo „Poczta Królewiecka", wychodzące w Królewcu w latach 1718—20! Tu wydrukowano pierwszą polską książkę „P ... vlle"; a mowa, jaką się posługiwano, nie była gwarą ludową, lecz wykształconym językiem literackim. Zanieczyszczenie tutejszego języka polskiego niemieckimi naleciałościami silniej uwydatniać się zaczęło dopiero wtedy, kiedy rząd pruski użył przy spisie 1890 roku nazwy „Mazury" w odróżnieniu od Polaków, aby rozbić łączność tubylców z narodem polskim i mieć podstawę do fałszowania obliczeń ludnościowych. Do tego czasu literatura niemiecka przez wieki nie kwestionowała tożsamości języka, którym mówią Polacy w Prusiech — z językiem polskim.

Skąd więc pochodzi niemota Mazurów, jeśli są oni nieobumarłą gałęzią pnia polskiego? Wywodzi się ona z ich osobowości zepchniętej na piachy i jeziorzyska, znajdującej się pod przemożnym wpływem Niemców.

Polak z Pojezierza Mazurskiego przedstawia typ człowieka powściągliwego w swych sądach, ale i tępego, skłonnego do przeciwstawiania się czynnikom władzy i organizacji, najczęściej z pobudek materialnych, skrytego oraz odczuwającego silniej jakąkolwiek krzywdę niż otrzymane dobrodziejstwo. Nie odczuwając przeważnie istoty swego położenia i poniżenia, nie zdoławszy wydać z siebie przywódców i kierowników duchowych, polska ludność Prus Wschodnich posiada skłonność do upartego trwania przy raz powziętych sądach i postanowieniach narzuconych im przez nie przebierającą w środkach propagandę niemiecką. Jak podkreśla Stanisław Srokowski: „Mazurzy pruscy, to nie ruchliwi, nerwowi, pracowici, wykazujący wiele alpejskiego typu Górnoślązacy, to nie organizacyjni, choć butni, mocno nordyczni Wielkopolanie, to nie zdolni do głębokich sentymentów subnordycy wileńscy, ani też przedstawiający znowu największą może mieszaninę rasową żywiołowi lwowianie. Polacy na Mazowszu Pruskim, odcięci przed wiekami od reszty Polski kordonem granicznym, są wyjątkowo przez niewolę zniekształconym szczepem polskim".

Nie łatwo też dziś trwać w „kraju niemych". Nie łatwo trwać ze względów materialnych, duchowych a i moralnych także. Olbrzymie połacie ziemi ornej leżą odłogiem. Wielkie łany zbóż gniją nie zebrane na polach a dziki usiłują powybierać nie wykopane na czas ziemniaki. Zupełny brak koni, bydła i sprzętu rolniczego. Tak w miastach, jak i wsiach ludność cierpi głód. Brak opału i nawet zakładom przemysłowym grozi unieruchomienie, jeżeli w porę nie otrzymają węgla. Nie ma również potrzebnej ilości szkła dla zabezpieczenia mieszkań przed zimnem, które tu jest bardziej dotkliwe niż gdziekolwiek indziej. Bo może nie wszyscy wiedzą, że klimat tutejszy jest surowszy niż w reszcie Polski, że średnia roczna temperatury jest tu mniej więcej o 2,5° C niższa niż na pozostałych ziemiach Polski. Tu rolnik nie wie nigdy, kiedy będzie mógł wyjść w pole lub z niego zejść, eksploatator lasów — czy ziemia pod wpływem mrozu dość okrzepnie, aby mógł przechodzić bagna i trzęsawiska, które w tym kraju są wyjątkowo liczne, hodowca bydła — jak długo będzie mógł wypędzać zwierzęta na pastwiska. Nie łatwo; o, nie łatwo jest trwać w „kraju niemych". Teraz dopiero, w czasie zimy okazuje się, ile posiadamy hartu i woli. Teraz pokazało się, kto tu przybył, aby rzetelnie pracować dla odbudowania polskości, a kto szukał tylko przygody lub sposobności „szabru" i łatwego osobistego zysku.

Niemniej ważkie są względy duchowe i moralne, ale i o nich nie da się pisać bez goryczy, bólu, żalu i buntu.

Ludwik Łakomy

W sprawie polskich zbiorów teatralnych

Czynimy obecnie raz po raz obliczenia: stwierdzamy co posiadamy, notujemy, jakie straty i szkody ponieśliśmy w ostatnim sześcioleciu.

Stąd nieobojętną może będzie rzeczą podać do wiadomości szerokich kulturalnych sfer naszego społeczeństwa, jak się przedstawia dzisiaj w najogólniejszych zarysach kwestia polskich zbiorów teatralnych.

Zanotujmy przede wszystkim olbrzymią, niepowetowaną stratę, jaką poniosła kultura polska wskutek spalenia przebogatych warszawskich zbiorów teatralnych, wśród których znajdowało się około 12 tysięcy rękopisów sztuk teatralnych, między innymi utwory z XVIII i pierwszej połowy XIX wieku.

Zaginęły bezpowrotnie wśród zawieruchy wojennej zbiory **Stanisława Dąbrowskiego**, znanego artysty dramatycznego, autora całego szeregu cennych prac o naszych scenach teatralnych. Przepadły też na zawsze cenne zbiory i rękopisy **Ludwika Simona**, młodego pracownika na niwie naszej teatrologii, tak piękne rokującego nadzieje, niestety nie żyjącego. Posiadał także bardzo bogatą bibliotekę teatralną, dziś już też nie istniejącą, **Celestyn Rydlewski** w Poznaniu, niezwykle zasłużony działacz społeczny w Wielkopolsce, sprawom teatru polskiego całą duszą oddany, rozstrzelany przez Niemców w 1940 r. Przypuszczać można, że archiwa teatralne w Poznaniu i Lublinie ocalały — natomiast losy wileńskich i łódzkich zbiorów teatralnych są mi na razie nieznane. Zachowało się z całą pewnością bogate archiwum teatralne przy teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie, posiadające m. in. bardzo cenne rękopisy utworów teatralnych. Ocalała też wielka biblioteka teatralna znajdująca się przy Teatrze Wielkim we Lwowie, przewieziona 30 sierpnia 1945 r. do Katowic, o czym podał wiadomość Jerzy Koller nr 64 „Odrodzenia". W związku z artykułem J. Kollera pragnę nadmienić, że we Lwowie istniała jeszcze druga odrębna biblioteka teatralna, zwana powszechnie Biblioteką Hellera, tak dobrze zasłużonego dyrektora teatru lwowskiego (zmarł w r. 1926). Obejmowała ona nieocenionej wprost wartości rękopisy utworów dramatycznych. Korzystał m. in. z tej biblioteki Hellera Ludwik Bernacki w zestawieniu bibliograficznym utworów dramatycznych Jana Nepomucena Kamińskiego (Lwów, 1911), posługiwałem się nią i ja w moich rozprawach o Kamińskim i w wykładach uniwersyteckich o dziejach dramatu i teatru polskiego. Z rękopisu znajdującego się również w tej bibliotece wydał pierwszą redakcję komedii Fredry „Intryga na prędce" (Kraków, 1917) Henryk Cepnik, a nie, jakby ktoś z artykułu Kollera mógł wnosić, E. Kucharski.

Nasuwa się teraz pytanie, co się stało z ową biblioteką teatralną Hellera? Czy po jego śmierci przepadła, czy też została wcielona do głównej biblioteki teatralnej i razem z nią przewieziona do Katowic? Wyjaśnienie w tej sprawie mógłby dać dzisiaj jedynie zarząd biblioteki teatralnej w Katowicach.

O ile by w przewiezionych do Katowic zbiorach znalazły się rękopisy oznaczone sygnaturą B. H. (Biblioteka Hellera), znaczyłoby to, że biblioteka Hellera jest w tych zbiorach. W przeciwnym razie nasuwałby się wniosek, że biblioteka Hellera znajduje się na miejscu, a w takim wypadku należałoby dążyć do jej odzyskania. Zwracamy się więc do zarządu biblioteki teatralnej w Katowicach z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy i podanie wyniku badań do publicznej wiadomości. Ponadto mamy jeszcze jedną prośbę, żeby biblioteka teatralna w Katowicach zechciała ogłosić naukowo opracowany katalog znajdujących się w niej rzeczy; jest to dzisiaj jeden z najważniejszych postulatów w zakresie badań nad historią naszego teatru i dramatu. J. Koller wspomina jeszcze w swoim artykule o lwowskim muzeum teatralnym, podając o nim wiadomość na podstawie „tradycji teatralnej sprzed kilkunastu laty", bliższych jednak szczegółów o nim nie zna (Koller zapytuje: jakie muzeum i gdzie?). Otóż mogę stwierdzić z całą stanowczością, że muzeum i archiwum teatralne istotnie powstało we Lwowie w roku 1938, dzięki gorliwemu zajęciu się tą sprawą przez lwowską radę miejską, mającą tak piękną kartę w dziejach kultury naszej (przy szczególnym poparciu prezydenta Stanisława Ostrowskiego, wiceprezydenta Jana Weryńskiego i pomocy dyrektora teatru lwowskiego Janusza Warneckiego). W muzeum tym byłem kilka razy, jakkolwiek nie było jeszcze zupełnie urządzone. Zorganizowane z wielkim nakładem pracy lwowskie muzeum i archiwum teatralne obejmowało dwa wielkie działy: 1) kolekcjonersko-muzealny i 2) archiwalno-naukowy. Posiadało zaś wprost bezcenne skarby, jeśli chodzi o historię teatru lwowskiego od najdawniejszych niemal jego początków, m. in. przebogaty zbiór dokumentów archiwalnych, najtroskliwiej zebrane afisze teatralne (najstarszy z r. 1798), olbrzymią ilość portretów artystów i artystek lwowskich, różne pamiątki, albumy, srebrne wieńce, szarfy, projekty dekoracyjne, kostiumy, fotografie przedstawień teatralnych, materiały do działalności Bogusławskiego, Kamińskiego. Skarbka, Dobrzańskiego, Hellera, Pawlikowskiego, Czarnowskiego, Modrzejewskiej, Gostyńskiej, Kasprowiczowej i in., liczne druki odnoszące się do dziejów teatru lwowskiego, ulotki itd. Ówczesna prasa polska zamieściła szereg artykułów o lwowskim muzeum i archiwum teatralnym, podnosząc jego wielkie znaczenie dla naszej kultury. Podczas okupacji niemieckiej starano się z wielką gorliwością o zabezpieczenie lwowskich zbiorów muzealnych. Jaki był ostateczny wynik tych usiłowań trudno mi podać, gdyż niestety z powodu ciężkich przejść osobistych nie mogłem zainteresować się tą sprawą w r. 1944 i 1945 w taki sposób, jakbym pragnął. Byłoby niepowetowaną stratą, gdyby tak cenne zbiory lwowskiego muzeum i archiwum teatralnego miały przepaść bezpowrotnie.

Pragnę jeszcze przypomnieć, że we Lwowie miał bardzo cenny zbiór teatraliów **Henryk Cepnik** (1877—1941), dziennikarz, literat, długoletni kierownik literacki teatru lwowskiego za dyrekcji L. Hellera, jeden z bardzo zasłużonych badaczy historii sceny lwowskiej, dla którego poza teatrem właściwie nic nie istniało. Ze zbiorów tych nieraz korzystałem dzięki wielkiej uprzejmości i uczynności właściciela. Po jego śmierci porozumiewałem się z wdową zamieszkałą w Zimnej Wodzie. Niestety według otrzymanych wiadomości od pani Cepnikowej część tych zbiorów zniszczała w czasie zawieruchy wojennej; pozostałe zaś rzeczy były przechowywane w pakach. Czy pani Cepnikowa jest jeszcze w Zimnej Wodzie, czy też wyjechała i zabrała ze sobą zbiory męża, tego podać nie umiem; mimo usilnych moich starań nie mogłem już się z nią porozumieć przed moim wyjazdem, może jednak można będzie dowiedzieć się o losach tego tak ważnego zbioru. Do historii teatru niemieckiego we Lwowie (1872) cenne materiały posiada Kotula-Niementowska, ostatnio zatrudniona w lwowskiej Bibliotece Uniwersyteckiej. Materiały te zostały zebrane przez jej ojca Rudolfa i dr Józefa Fritza. Rzucają one dużo światła na stosunek polskiej sceny do niemieckiej, zwłaszcza jeśli chodzi o historię repertuaru lwowskiego, opierającego się w znacznej mierze i to przez długi szereg lat na produkcji dramatycznej niemieckiej. Z innych osób przechowujących materiały do dziejów sceny lwowskiej wymienię jeszcze: Helenę Słoniewską (w jej posiadaniu są cenne zapiski dotyczące działalności Felicji Stachowicz-Grekowej, jednej z najwybitniejszych artystek sceny lwowskiej), Janinę Jankowską (artystkę sceny lwowskiej), Helenę Tatrzańską (wdowę po Michale Tatrzańskim, znanym artyście dramatycznym); pamiątki po Ferdynandzie Feldmanie przechowuje z pietyzmem jego rodzina.

Prawdziwą kopalnię wiadomości z okresu swej działalności w teatrze lwowskim posiada Leonia Rasińska, która opublikowała ciekawe sylwetki artystów i artystek lwowskich. Zachęcałem ją gorąco, aby te rzeczy wydała osobno drukiem.

Kończę tych kilka spostrzeżeń wywołanych wielką troską o nasze zbiory teatralne gorącą prośbą do wszystkich, którym na tych sprawach zależy, o jak najtroskliwszą opiekę nad nimi. Może też moje uwagi pobudzą niejednego zajmującego się losami naszych teatrów do uzupełnienia podanych przeze mnie wiadomości.

Wiktor Hahn

Wystawa pośmiertna Józefa Pankiewicza i Alojzego Majchra

oraz zbiorowe Stefana Brzozowskiego i Jana Szczęsnego Książka

Wystawy otwarte 3 marca br. w gmachu krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych należą do cyklu doniosłych wydarzeń w artystycznym życiu Krakowa, analogicznie do pierwszej wystawy Zawodowego Związku Artystów Plastyków, która informowała o bieżącej twórczości plastycznej i wystawy dzieł Olgi Boznańskiej, w której świetle malarstwo tej artystki zarysowało się w naszej świadomości jako jedno ze szczytowych osiągnięć polskiej sztuki. Ostatnio otwarta wystawa rzuca przede wszystkim światło na twórczość **Pankiewicza,** szczególnie doniosłą dla historii naszego malarstwa dlatego, że do pewnego przynajmniej stopnia tkwią w niej korzenie dzisiejszych zjawisk artystycznych. Pankiewicz bowiem był tym, który torował w Polsce drogi impresjonizmowi i przeszczepiał na grunt polski różne postaci francuskiego malarstwa, jakiego swoistym odblaskiem jest obecnie, prawie już oficjalne malarstwo polskie. Rolę tego artysty w dziedzinie naszej sztuki uwypukla jeszcze fakt całkowicie konkretny, a mianowicie, że od roku 1925 sprawował on funkcje kierownika paryskiego oddziału Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.



JAN KSIĄŻEK **Martwa natura, olej**

Krakowska wystawa obrazów Pankiewicza daleka jest od ideału kompletności, bo uwzględnia tylko przypadkowy zespół dzieł zachowanych w Krakowie. Cyfry wystawionych obrazów olejnych, akwarel, rysunków i prac graficznych przedstawiają się skromnie w porównaniu z niezmiernie obfitą twórczością mistrza. Katalog wystawy uwzględnia bowiem 41 obrazów olejnych, 7 akwarel, 9 rysunków i 13 prac graficznych, w szczególności akwafort. Dzień przed otwarciem wystawy nadesłano jeszcze kilkanaście rysunków i grafik, których nie można już było włączyć do katalogu. W związku ze zrozumiałą fragmentarycznością pokazu różne fazy twórczości Pankiewicza nie zostały przedstawione równomiernie. Na podstawie omawianej wystawy nie można oczywiście wydać sądu o całym dziele artysty, — można co najwyżej omówić pewne strony wielorakiej i wciąż odmienianej działalności malarskiej tego propagatora francuskiej wizji plastycznej.

Jego najdawniejsze i przedimpresjonistyczne obrazy pozostały wprawdzie w atmosferze lokalnej sztuki warszawskiej, ale pod wpływem tych jej przejawów, które posiadały wówczas wartość najwyższą. Pankiewicz nawiązał bowiem do malarstwa Aleksandra Gierymskiego, którego jako młody i niedoświadczony człowiek umiał ocenić w sposób zadziwiająco trafny. Działo się to jeszcze przed rokiem 1889, a więc przed jego pierwszym wyjazdem do Paryża. W ten sposób ujawniła się bardzo znamienna właściwość artysty — umiejętność rozpoznawania w sztuce swoich czasów wartości najbardziej cennych, najbardziej rzetelnych i wynalazczych, rokujących przy tym największą trwałość. Posiadał on absolutne wyczucie artystycznego i historycznego zarazem znaczenia pewnych dzieł i prądów, decydujących o żywym nurcie sztuki. Odwracał się zaś plecami do sztuki epigonicznej i łatwej, do ubocznych produktów sztuki francuskiej, spożywanych przez burżuazyjną półinteligencję, a popieranych przez oficjalne salony i czynniki administracyjne.

Wrażenie, jakie wywarł na niego Gierymski, musiało być dość silne, skoro nawet po przyjeździe z Paryża (1890) wracał wielokrotnie do motywu „nokturnów", tak często malowanych przez starszego kolegę po fachu. Faza czystego impresjonizmu (na krakowskiej wystawie nie reprezentowana) trwała bowiem bardzo krótko, a impulsy płynące od środowiska paryskiego wygasły w nim szybko po powrocie do kraju.

Fazę poparyską ilustrują dobrze wystawione nocne krajobrazy urbanistyczne, jak „Dżdżysty wieczór na Starym Mieście" (z motywem dorożki), drugi podobny pejzaż i „Łabędzie w Ogrodzie Saskim". W dziełach tych rozpoznajemy znamiona tego samego realizmu, tego samego rzetelnego i aż zaciekłego studium natury z uwzględnieniem elementu sztucznego światła, jaki cechował malarstwo Gierymskiego. Już nadbudową w pewnym sensie indywidualną są „Łabędzie", przejaw neoromantycznych nastrojów malarza, chłonącego trudną i intelektualną poezję Mallarmégo. Z warszawskiego okresu pochodzi też duży, realistyczny „Portret stojącej damy" utrzymany w gamie fioletowo-popielatej, nieco fotograficzny i pod względem malarskim ubogi produkt jego skłonności przedstawiających, które będą w nim trwały zawsze, pomimo że czasem zostaną nakryte i przysłonięte do niepoznaki warstwą czysto malarskich jakości. Natomiast poważnymi zaletami koloru i miękką, subtelną fakturą odznacza się „Portret dziewczynki w czerwonej sukience" z r. 1897, opłynięty pogodną falą sztucznego światła (był malowany przy lampie), przypominający z lekka efekty Carrière'a o tyle jeszcze godny uwagi, że w tym przypadku osobowość modela przedstawiała dla artysty wartość co najmniej równorzędną z malarską stroną zjawiska. Pewnym nawrotem do takiego samego ujęcia rzeczywistości będą znowu końcowe lata jego życia, co daje dużo do myślenia wobec wybitnej inteligencji artysty i właściwego mu daru wyciągania poprawnych wniosków z przesłanek doświadczenia.

W przeciwieństwie do krótkotrwałego widzenia impresjonistycznego górują w dziele Pankiewicza różne postacie postimpresjonizmu, decydujące o wyglądzie większości obrazów artysty, tworzonych od roku 1903/4 po ostatnie lata jego życia. Na samym początku tej fazy powstaje prześliczna akwarela, jakżeż inaczej i o ile mądrzej malowana od „chlapowatych" akwarel Fałata z przedstawieniem klasztoru beginek w Brugii (1903), humanistyczny „poemacik" na temat przedwieczornego momentu, którego nie można wiązać z żadną wyraźną „szkołą". Za to do płócien malowanych pod wpływem Cézanne'a należą: „Kobieta przed lustrem" (1911), „Martwa natura z czerwonymi kwiatami" oraz „Martwa z nożem i owocami" z r. 1909, z których zwłaszcza druga, skomponowana z wielką prostotą, odznacza się dużymi zaletami koloru, że wspomni się o chłodno-różowym tle, związanym z sinawym błękitem reszty obrazu, i o gorącym akcencie pomarańczy.

Ten okres pierwszego dziesięciolecia XX wieku nie przedstawia się jednolicie, bo prawie równocześnie maluje artysta obrazy do siebie niepodobne zarówno pod względem faktury jak i założeń barwnych. „Japonka" z r. 1908 to dekoracyjna mozaika szerokich, intensywnie zabarwionych płaszczyzn z przewagą czerwieni, refleks formalnego programu Gauguina. O tym jak w owym czasie pociągało malarza zagadnienie dekoracyjnej wymowy malowidła świadczy wariant tego samego płótna, powtórzony z nieznacznymi zmianami.

I znowu dokładnie w tym samym czasie powstaje „Portret Feliksa Jasieńskiego" (także z r. 1908), malowany inaczej zarówno od wymienionych „martwych natur" jak i „Japonki". Wchodzi tu bowiem w grę bardzo ostrożne, staranne i pracowite zamalowanie powierzchni przy użyciu krótkich dotknięć pędzla i dążeniu do jednolitego tonu barwnego, co spotyka się także w „Martwej naturze z wazonem perskim". W pierwszym obrazie, skomponowanym w pomysłowy i oryginalny sposób (model we fraku za pudłem fortepianu), konstrukcja barwna malowidła opiera się na przeciwstawieniu różowych brązów chłodnym zieleniom, błękitom i czerni, — w drugim całość opiera się na zasadzie błękitnego tonu, zróżniczkowanego na mnóstwo odcieni. W świetle tych przykładów wprost zadziwia wielotorowość zainteresowań i dążeń malarza, nurtujących go w okresie zaledwie dwuletnim (1908/9). Dochodzi wówczas do osiągnięć niewątpliwie samodzielnych i własnych (jakich przykładem ostatnio opisane obrazy), stanowiących wynik tak cennych rysów charakteru jak sumienność. Ogromna pracowitość i wielkie poczucie odpowiedzialności, wszystko to skojarzone z wrodzonym zmysłem kolorystycznym.

W dwa lata później (1911) komponuje dużych wymiarów bukoliczny „Pejzaż z Saint Tropez" z nieco stylistycznymi piniami i aktami, utrzymany w srebrzystej tonacji, z którym koresponduje podobnych wymiarów „Krajobraz prowansalski". Zdecydowana gama niebieska o silnych różnicach walorowych cechuje znowu „Pejzaż z Giwerny" z granatowym drzewem na pierwszym planie i motywem krów.

Lata spędzone w czasie pierwszej wojny w Hiszpanii i ówczesne próby kubizowania formy nie zostały na wystawie pokazane. Za to wystawiono kilka pięknych malowideł z lat powojennych, z okresu po roku 1920, w których Pankiewicz ulega wpływom Bonnarda a zwłaszcza Renoira. Gładka i płynna faktura w połączeniu z cienką warstwą farby, pewna predylekcja do jasnych różów, zestawionych z delikatnymi zieleniami, jakimi określa karnacje, zbliżają go do francuskiego mistrza. Ten rodzaj malarstwa naświetlają na wystawie przede wszystkim „Kwiaty" („Piwonie" i „Tulipany"), które jednak tylko w przybliżeniu dają pojęcie o jego wielobarwnych i nieraz bardzo intensywnych kolorystycznie studiach kwiatowych z omawianego okresu. Zbliża się do tych płócien „Martwa natura" z czerwoną płytą stołu, czarną tacą i niebieskawym szkłem, zapewne z roku około 1925. Bliska chronologicznie tym obrazom jest może najpiękniejsza na wystawie „Martwa", utrzymana w przeciwieństwie do tamtych w dość ciemnej tonacji, z czerwonym dywanem w tle, ciemnozieloną butelką, bananami i brzoskwiniami, która godzi harmonijnie czysto kolorystyczne wartości z obiektywnymi właściwościami przedstawionych przedmiotów, że wspomni się o puszystym naskórku brzoskwiń, prawie dotykalnych („kaptycznych" podług terminologii Riegla).

Portret własny malarza należy do jego późnej fazy twórczej, a w związku z cechującą go redukcją kolorów i obiektywizmem ujęcia uzmysławia jego niechęć do deformacji oraz przypomina często przezeń powtarzane wypowiedzi na temat rządzącego obrazem „prawa natury" (w trakcie analizy dzieła Veronesa), ewokacyjnej siły płótna sprzęgniętego z rzeczywistością, obowiązków sztuki wobec świata itp. Łączy się ta sprawa z jego poczuciem „klasycyzmu" i świadomym zwężeniem palety do zieleni, kilku sjen i czerni. Znaczenia Pankiewicza dla naszego malarstwa nie trzeba podkreślać, bo jest ono oczywistością. Celem spięcia tych dotychczasowych uwag szczegółowych klamrą jakiejś definicji przypomnieć należy, że Pankiewicz dopiero zespolił mocno malarstwo polskie z francuskim, że otworzył mu drogę do Polski, że był jednym z głównych twórców obecnego oblicza naszej sztuki, która prawie w całości rozwija się na fundamencie przedwojennej twórczości Francuzów.

Na osobne omówienie zasługiwałaby jeszcze grafika Pankiewicza i jego rysunki. Na razie ograniczymy się tylko do stwierdzenia, że grawiury artysty, w szczególności zaś jego akwaforty, reprezentują u nas (nie tylko zresztą u nas) poziom najwyższy. Świetne rzemiosło, precyzyjna kreska, subtelność wizji, równe i celowe opracowanie płyty to zaledwie część właściwości, jaka nie wyczerpuje szlachetnego uroku akwafort, rzadziej litografij, przedstawiających głównie krajobraz, często typu urbanistycznego, zarówno francuski jak polski.

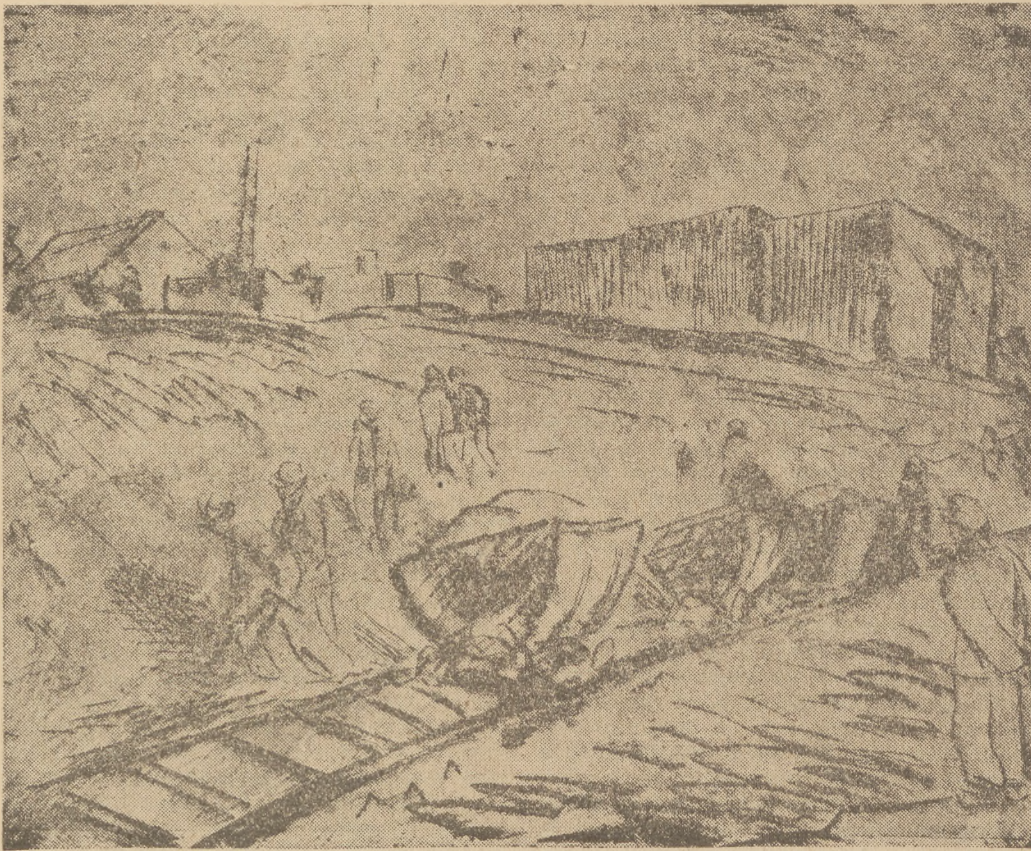
Na dobrego grafika zapowiadał się także **Alojzy Majcher,** rozstrzelany w Oświęcimiu w r. 1941. Jego rysunki i prace graficzne posiadają poważne zalety. Niektóre tusze (pod wpływem Goyi), z motywem postaci w hiszpańskich strojach, uderzają delikatnością i wyczuciem kreski. Kontrastują z nimi szerokie i miękkie smugi główkowych rysunków a zwłaszcza niektóre drzeworyty, ograniczone do bieli lub czerni, o grubym, odważnym konturze. Jego grafika jest bardzo rozmaita, bo posługuje się np. w akwaforcie złożoną siecią linij i efektami malarskimi, wyjątkowo zaś kojarzy się nawet z młodopolską tradycją i Wyspiańskim. Sztuka tego artysty nie stała się jeszcze zjawiskiem zamkniętym i skrystalizowanym, ale dowodziła dużej energii twórczej i odznaczała się wielką siłą ekspresji.

Za utalentowanego i wrażliwego artystę należy uznać **Jana Szczęsnego Książka,** który wystawił kilkanaście obrazów olejnych i kilka pasteli. Dowodzą one niewątpliwych związków malarza ze współczesną, poimpresjonistyczną problematyką malarską propagowaną np. przez kapistów. Wchodzi tu więc znowu w grę koloryzm pochodzenia francuskiego. W pejzażach Książka uderza gama stłumiona, zbudowana często na bladych zieleniach i różach, to znów sprowadzona do zasady tonu, np. srebrzysto-niebieskiego. Cechuje go na ogół krótkie uderzenie pędzla i swoisty „fakturowy" dywizjonizm, a więc rozbicie plamy barwnej na plamki i smugi. Obok takich pejzaży trafiają się inne, malowane raczej szeroko dość płynną farbą, nawarstwioną cienko i gładko. Inaczej robione są pastelowe portrety, w tonie ciemniejsze, rysowane energicznie z trochę niepokojącą wirtuozerią techniczną. Wydaje mi się, że najbardziej sobą jest ten bardzo czuły na impulsy otaczającej go sztuki artysta w „Martwej naturze" z bukietem kwiatów, wzmocnionych plamą intensywnej czerwieni (nr 214), malowanej szeroko i swobodnie i bardziej polifonicznej i bogatej od innych płócien.

Co do obrazów i obrazków Stefana Brzozowskiego, wystarczy stwierdzić ich anachronizm oraz właściwą im cechę odtwarzania przedmiotów bez przekształcenia ich na formę malarską.

Na zakończenie tej przydługiej recenzji (spowodowanej różnorodnością dzieła Pankiewicza) wypadnie jeszcze podkreślić godną uznania ruchliwość Towarzystwa Sztuk Pięknych, które w ciągu dwóch ostatnich miesięcy potrafiło zorganizować tak interesujące wystawy, jak obrazów Boznańskiej i Pankiewicza. Równocześnie jednak pozwalamy sobie zwrócić uwagę na konieczność osobnego rozmieszczania prac graficznych i obrazów olejnych. Umieszczenie bowiem w jednej sali obrazów Książka i grafiki Pankiewicza, a więc tworów o różnym ciężarze gatunkowym, nie mogło dać dobrego wyniku.

Tadeusz Dobrowolski



ALOJZY MAJCHER Kolejka, sucha igła

Wystawa J. i W. Mierzejewskich w Łodzi

W lutym otwarto w Łódzkiej Galerii Sztuk Plastycznych wystawę obrazów i rysunków dwojga młodych malarzy, wychowanków Warszawskiej Akademii, Jerzego Mierzejewskiego i Walentyny z Symonowiczów Mierzejewskiej. W przedmowie do katalogu tej wystawy dyrekcja Galerii tak gorliwie usprawiedliwia młodych artystów, że w rezultacie wchodzimy na salę wystawową pełni najgorszych przeczuć. Na szczęście przeczucia te się nie spełniają.

Z pojęciem „zamówienia społecznego" w stosunku do malarstwa zbyt wyłącznie może kojarzymy w dzisiejszych czasach pewne sprawy z zakresu tematyki lub zupełnie niemożliwe do przeprowadzenia w malarstwie stalugowym jakieś niezbyt określone wymagania bezpośredniej użytkowości.

Według mnie „zamówienie społeczne" dotyczy obecnie nie fabuły obrazu stalugowego, ale przede wszystkim jego formy. Nie łatwo jest zapewne z góry i niedwuznacznie określić, w jaki to sposób ta forma ma odpowiedzieć na wymagania naszego czasu, natomiast wiadomo, że właściwie namalowana martwa natura może być trafniejszą na nie



JERZY MIERZEJEWSKI **Portret Weli, olej**

odpowiedzią niż scena łapanki czy bitwy pokazana w formie zupełnie nieodpowiedniej.

Przerzucając w ten sposób punkt ciężkości zamówienia społecznego z tematu na formę, czy powiedzmy lepiej treść obrazu, również nie spodziewam się natychmiastowej realizacji tak pojętego zamówienia. Sądzę natomiast, że w dyskusji każdy głos trafny wpływający na nadanie pracy właściwego kierunku moment ten przybliża.

Prawie zawsze w pracach Mierzejewskich widzimy trafność założeń malarskich. Jednemu z elementów składających się na całość ich malarskiego warsztatu, elementowi podstawowemu trzeba poświęcić chwilę uwagi. Jest nim stosunek do pierwiastka przestrzennego, do kształtu, linii i bryły w malowanej rzeczywistości. Prymat koloru związany był z niedorozwojem kształtu w malarstwie.

Niedobrze się stało, że dwa ugrupowania malarskie, tzn. formiści i Bractwo św. Łukasza, które postulat pracy nad formą, zresztą w krańcowo różnym ujęciu, włączyły w swoje programy, odznaczały się ekstremizmem. Ekstremizm ten w jednym wypadku rewolucyjnego, w drugim reakcyjnego typu, przyczynił się do zredukowania znaczenia tych prądów, zasięgu ich wpływów, sprawa formy znalazła się w defensywie. Od jakiegoś czasu tak się jakoś składało, że zwolennik uwzględnienia sprawy kształtu w malarstwie był to najczęściej łagodny konserwatysta, pobożnie pragnący zachowania malowanego nosa czy uszu w przekazanym nam przez przodków kształcie. I mało już komu przychodziło do głowy, że nowoczesnemu pojęciu koloru należy przeciwstawić przynajmniej równie zmodyfikowane pojęcie kształtu. Pewne zabiegi deformacyjne wychodziły raczej od kolorystów i z ich punktu widzenia były dokonywane. Były to zresztą raczej przymglenia czy niedopowiedzenia formy pod naciskiem czynnika kolorystycznego niż poszukiwanie nowych rozwiązań. Wypowiedzenie nudnie naturalistycznej formy bogatą fakturą malarską, czy zróżnicowaną techniką graficzną, nie jest jeszcze rozwiązaniem zadania, o którym mowa.

Oto w czym dostrzegam najgłębszy walor wystawy Mierzejewskich. W ich zainteresowaniu dla kształtu. A przekonany jestem, że bez radykalnego podjęcia tej sprawy nie ma mowy o stworzeniu stylu godnego naszej epoki.

Zainteresowanie to, które jest cechą obojga malarzy, daje różne u każdego rezultaty. W pracach Mierzejewskiego jest rysunek bryły bardziej rzeźbiarski i przynajmniej z pozoru bardziej zbliżony do rozwiązań tradycyjnych, w pracach Walentyny Mierzejewskiej w sposób bardziej graficzny i mocno kubizujący. Zaledwie uchwytne a mocne, podskórne geometryzowanie formy w pracach malarza zachowuje nienaruszoną bryłowatość przedmiotów. Ta bryłowatość staje się nieprzekraczalną ramą dla efektów kolorystycznych. Jerzy Mierzejewski jest świadomym kontynuatorem założeń malarskich swego ojca Jacka Mierzejewskiego, co wyraża się przede wszystkim w uznaniu suwerenności czynnika kształtu. Z tą subtelnie odnaturalizowaną formą harmonizuje kolorystyka: bogata, ale wszędzie, głównie przez swój stopień nasycenia, przez swój ciężar, pozbawiona kolorystycznej iluzoryczności. I najlepsze chyba są te prace, gdzie subtelna ale decydująca o wyrazie rytmizacja brył przeprowadzona jest przy udziale realistycznej kolorystyki. Do takich zaliczam prace noszące w katalogu tytuły „Przedwiośnie", „Opłakiwanie", „Grajek", „Martwa natura z wazą". Słabiej wypadają te prace, gdzie owo konstruowanie kształtu przeżywa swój przerost lub niedorozwój. Tu wymienić trzeba „Popłoch" i „Autoportret w kapeluszu". Do ujemnego według mnie efektu tej pracy przyczynia się zbyt „rembrandtowskie" potraktowanie światła. Zupełnie inaczej, choć równie zdecydowanie radzi sobie z problematem formy malarka. Tu geometryzacja jest, szczególnie w kompozycjach, bez porównania radykalniejsza, kolorystyka bardziej abstrakcyjna, faktura nie tak powściągliwa, płaszczyzna obrazu podzielona na duże partie kolorystyczne.

Nastrój tych prac jest różny od tamtych, bardziej przesiąknięty iluzją, bardziej zagadkowy. Wyraźniejszy jest też czynnik tematyczny. Ostro przeprowadzona granica światła i cienia daje nieraz wrażenie jakiegoś księżycowego oświetlenia, szczególnie w obrazach przeprowadzonych w całości w chłodnym tonie. Najprzyjemniejsze jednak są chyba te, gdzie przeprowadzono równowagę zimnych i ciepłych tonów jak „Owocobranie", „Projekt plafonu" „Portret własny" i in.

Bardzo charakterystyczne rezultaty daje porównanie prac rysunkowych obojga artystów. U Jerzego Mierzejewskiego czysta gra brył wyrażona najprostszymi środkami. U Mierzejewskiej grają bryły, ale jeszcze intensywniej, odrębnym życiem żyją ich graficzne odpowiedniki: plamy, linie, kreski. Malarz nie wychodzi prawie poza bezpośrednie studium natury, malarka uprawia kompozycję rodzajową lub symbolizującą, opartą na bardziej swobodnym do tej natury stosunku. W jej rysunkowym cyklu „Polonia" nie brak akcentów wielkiej szczerości i uczucia.

Zespół ciekawych akwarel zamyka tę wystawę, w której można dostrzec niedociągnięcia ale nie ma akademickiej nudy i ignoranckiej fuszerki.

Stanisław Byrski

ŻYCIE TEATRALNE

„ZAMACH" W TEATRZE SŁOWACKIEGO

Sztuka w 3 aktach Tadeusza Brezy i Stanisława Dygata. Reż. Emila Chaberskiego, dekoracje Jana Kosińskiego.

Przedstawić jakiś tam odcinek konspiracyjnego życia Warszawy na wesoło, z uśmiechem, z optymistyczną wiarą, że jakoś musi się udać i rzeczywiście się udawało — to dusza Warszawy, to dusza autorów w tej sztuce. Przedstawić tę konspirację tak, by jedynymi koturnami na scenie były pantofelki aktorek, a przy tym nic nie zatracić z piękna patriotycznego czynu, z villonowskiej podwójnej pobudzenia, gdzie o krok od farsy czyhał tragizm i śmierć — oto zadanie, które sobie postawiła debiutująca na scenie spółka autorska. Czy i w jakiej mierze im się ten zamiar udał, będę się starał rozważyć.

Jest kawiarnia „Matiola", w której skupiają się nici łatwego handlu wojennego, przypuszczam — od spinki do obiektów fabrycznych, jest jej właściciel Frankowski, ostrożny i zastraszony mydłek. Przy bufecie pełni straż, pytanie jeszcze czyją, demoniczna dziewczyna, barmanka Ania, do końca pierwszego aktu tak postawiona, że nie wiadomo gdzie ją zaliczyć, do patriotów czy do kapusiów. „Człowiek interesu" Marczak śmiałym coup ubija dwa interesy, potrafi wyłudzić od naiwnego staruszka prof. Ćwirkowskiego fabryczkę, a przez zgrywającego się do nitki „człowieka z towarzystwa" Mytkiewicza formułkę doniosłego wynalazku Polaka docenta Oleskiego, by oba fanty sprzedać Niemcom. Oleski jest w oflagu, jego żona Lila, kobietka próżna i naiwna, dostaje się w ogólnej łapance na Pawiak, moment jest więc odpowiedni, by jej brat Mytkiewicz wykradł plany z mieszkania. Ale historia zaczyna się wikłać. Z oflagu powraca przypadkiem Oleski do Różanek, całkiem rozczarowany i uczciwy i z głupia frant krzyżuje zamiary Marczaka. Lilkę uwalnia z więzienia para—Schmidt, dyrektor Arbeitsamtu i jego żona — volksdeutscherka z Kruczej; zbierając pokłosie wdzięczności od mniej wartościowej paczki gości z „Matioli"; a kręci się tam jeszcze szpieg quasi-Argentyńczyk Carlo Raguzza, który komunikuje Schmidtowi nie zawsze dozowanej wartości informacje o życiu podziemnym, zasłyszane od Ani; przewijają się: chłopiec z temperamentem, niszczyciel Tadzio, dokładniej Mirek, skryty i tajemniczy monter Szczepaniak. Ci trzej — to pionki konspiracji, nie widać jeszcze jej króla „Mewy". O tego „Mewę" chodzi Schmidtowi. Dyrektor Schmidt, na przemian brutalny i dobroduszny, wasserpolak czy inne licho, bawi się bowiem w gestapowca, czy jest nim naprawdę, i ma ambicję przysłużenia się führerowi. Zapowiadany przez Anię zamach na grubszą szyszkę hitlerowską Klopfkego — okazał się bluffem. Schmidtowi grozi kompromitacja (a Klopfke mógł paść ofiarą zamachu, a nawet powinien, jako wyrzucony już i bezużyteczny ramol). Raguzza przyparty do muru przez Schmidta, z kolei szantażuje Anię, by mu wskazała „Mewę", który wieczorem ma się zjawić w kawiarni. Ale oto, co się staje (tu wyprzedzam rozwiązanie intrygi): w mieszkaniu Schmidta, pod jego nieobecność zostaje dokonany zamach prawdziwy, na personę ważniejszą od Klopfkego, na samego Brunbauera, który sobie upodobał Halinę Schmidt i przyprawia swemu famulusowi rogi. Na wieść o nieszczęściu Schmidt terroryzuje wszystkich zebranych w kawiarni w poszukiwaniu winowajcy i sam wpada z kolei w pułapkę „Mewy", którym jest nie kto inny, tylko knajpiarz Frankowski. Ania zaś to jego najbliższa współpracowniczka.

Tę sensacyjną intrygę przeprowadzają autorzy zręcznie, z ładnie miejscami stopniowanym napięciem, według niezawodnej recepty kryminalistycznej: jeśli popełniono zbrodnię, a wśród zainteresowanych osób jest niewinność, to ona właśnie zbrodni dokonała. Po drodze śmiałą i pewną ręką kreślą galerię typów warszawskich i jednego Niemca, powtarzam — typów, nie charakterów, bo psychicznego rozwoju, moralnej przypięci, nadbudówki, w tej sztuce nie ma. W tej mierze, w jakiej im się to udało, a udało się rzeczywiście, jest ta sztuka komedią obyczajową. W sukurs intrydze przychodzi tu dialog, naturalny, błyskotliwy, bez dłużyzn, zaskakujący kwestią po kwestii, operujący igraszką słowną i dający się wygrać aktorowi. Kto ma taki instrument w ręku — wstąpił już na scenę jedną pewną stopą i na niej pozostanie. Połączenie lekkości francuskiej komedii bulwarowej z sarmackim humorem Warszawy dało widowisko bardzo sympatyczne i wielce zabawne.

A teraz poruszę dwie drażliwe sprawy. Czy jest taktownie, czy „wypada" pisać tak lekko o konspiracyjnym życiu Warszawy, i czy to, co się dzieje na scenie jest prawdopodobne? Odpowiedź na pierwsze pytanie nie jest łatwa. Ci, którzy z piosenką i z żartem na ustach szli nawet w śmierć, sami nie celebrowali swojej ofiary i nie wymagali od drugich [illegible].

Jeszcze słów parę o sztuce, ale przez duże „S". Obu autorów Brezę i Dygata znam jako prozaików z prawdziwego zdarzenia, jako pisarzy, którym nie obce jest studium charakterów ludzkich. Gdyby w następnym utworze tę umiejętność swoją połączyli z tą sprawnością dramatyczną, byłaby to szkoda, gdyby ich bowiem na więcej, ale równocześnie mniej nie zażądał. Byłoby szkoda, żeby zręczności scenicznej nie zatracili nabytej już zręczności scenicznej.

„Zamach" grany jest dobrze, jakkolwiek inscenizacyjnie pozostawia nieco do życzenia.

Na czoło zespołu wysuwa się Lidia Próchnicka (Ania), Kazimierz Szubert (Marczak) i Zdzisław Mrożewski (Mytkiewicz). Próchnicka o pięknej sylwetce, powściągliwej i skupionej grze i pełnej wyrazu, żywo mieniącej się twarzy, jest postacią, która jakby żywcem przeniesiona z kontuaru zapadła w pamięć. Szubert stworzył sylwetkę „człowieka interesu", znakomicie opracowaną i świetnie scenicznie zgraną. Mrożewski świetny jako wasserpolak — również podobał mi się Wojnar jako Raguzza. Ciekawym, żywym, subtelnie grającym aktorem jest Bryliński jako Oleski, ucieleśniał jego swadą na postaci lekkim wdziękiem, naiwnością. Znaczną rolę zagrała Zofia Rysiówna w roli Schmidtowej. Włodzimierz Macherski („Mewa" — Frankowski) nie miał właściwie popisowej roli, ale ją odtworzył poprawnie. Tadzio, zręcznie, w ujęciu Antoniego Żukowskiego był szczery, prawdziwy, wnosił humor i zapał. Dobrze mu sekundowali Karol Podgórski (Mirek) i Janusz Ziejewski (monter od mokrej roboty). Franciszek Targowski (Carlo Raguzza) był typem fizycznie trafnie dobranym, szachrajem — pewnie ale niezbyt mądrego profesora inteligentnie zrobił Kazimierz Opaliński, a Tadeusz Burnatowicz nawet w małej roli dr Różanka pokazał swoją klasę.

Dekoracje solidne — ale dla uprawdopodobnienia akcji — rozwiązanie sceny jednak wadliwe. Aktorzy w sytuacjach, w których powinni mówić poufnie, są zmuszeni do trąbienia, tak, że nie tylko z dwu kroków oddalona Ania, ale widz z trzeciego balkonu doskonale ich słyszy. Konieczne jest przynajmniej półprzepierzenie pośrodku sceny, dla zamarkowania rozdziału. Poza tym ta kawiarnia wydaje się dziwnie opustoszała (choćby nawet na okres łapanek). Konieczni statyści na scenie i od czasu do czasu jakiegoś przechodnia za szybą! To musi być czynnik „ruchu, „ruchu", jak to robi się np. w „Ludziach w hotelu", to przecież nie Ibsen, żeby uwagę skupiać na głównych postaciach.

I jeszcze Trzeba mógłby sobie darować wycieczkę pod adresem „aprowizacji", bo w 43 roku nie mogło być o tym mowy, a publiczność i bez tych aktualności dobrze się bawi.

Marian Promiński

„MUZYKA NA ULICY"

Trudno pisać o sztuce aż tak wyrównanej na najniższym poziomie smaku artystycznego. Bardzo trudno zastanawiać się nad intelektualną treścią komedii, skoro rzecz przez cały czas trwania przedstawienia nie ma ani jednej „kwestii" zastanawiającej umysłowo, zaskakującej dowcipem. Zagadnienie moralne? Owszem, jest takie zagadnienie. Normalny odruch zdyscyplinowanego społecznie człowieka urosnąć ma w oczach widzów do wielkości gestu osobliwego. Bohaterowie sztuki po długich zmaganiach wewnętrznych i towarzysko-dialektycznych zgadzają się w niemy sposób na to, że jedyna naprawdę uczciwa i sympatyczna osoba w sztuce oddaje znalezione na ulicy brylanty w komisariacie policji. W końcu sztuki zjawia się właśnie komisarz policji i nagradza „bohaterów uczciwości".

Po co wystawia się więc taką sztukę? Czy może dla wartości muzycznych. Muzyka na ulicy. Chyba nie. Na pierwszej lepszej ulicy można usłyszeć równie przyjemne, albo i przyjemniejsze „szlagiery". Nie potrzeba po to chodzić na ulicę św. Jana i do zamkniętego, ciasnego lokalu.

W Warszawie przed wojną w sztuce tej grało trzech najlepszych polskich komików ze Zniczem na czele. Patrzało się na pantominy artystów, puszczając mimo uszu tekst. Ale i taka postawa męczy widza. Nie zdołano uratować wykonaniem sztuki pustej, wątłej, niesmacznej.

Również w teatrze Kameralnym najlepsze artystycznie jest milczenie **Żarneckiego**. To naprawdę obiecujący aktor — szkoda tylko, że już w czwartej sztuce — bez tekstu. Żarnecki milczał aktorsko, patrząc na **Nawrocką**. Nawrocka wyglądała bardzo pięknie, grała sympatyczną postać, mówiła niewiele, zawsze z pretensją, lub żalem w głosie. I żal i pretensje — rozumiemy — kierowała w stronę autora, reżysera, teatru. W końcu także zaśpiewała. Czarująca. Był to jedyny artystyczny moment w całej sztuce. **Fuzakowski** odniósł się z największym taktem do swojej roli — tuszował osobistą ironią banalność autorskiej filozofii. **Dzieduszycki** zaśpiewał przyjemnie kilka piosenek przy akompaniamencie niewidzialnej muzyki. **Świątkówna** i **Kurzawa** byli bardzo przekonywający w rolach nieprzyjemnych, wulgarnych — przekonywających nas ostatecznie o zupełnej ordynarności autora.

Sztukę reżyserowała znakomita aktorka **M. Dulęba**. Czy nie za wiele rozrzutności w naszej gospodarce artystycznej? Angażować najlepszą aktorkę starszego pokolenia i jedną z najzdolniejszych najmłodszego do pracy — najłagodniej — zupełnie zbytecznej?!

Stefan Otwinowski

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH

Ankieta „Odrodzenia"

Jerzy Andrzejewski: Od początku lutego siedzę w Zakopanem i piszę powieść, która ma się nazywać „Intermezzo". W przeciwieństwie do opowiadań wydanych w tomie „Noc", „Intermezzo" nie ma nic wspólnego z latami wojny. Jest to opowieść miłosna. Bohaterką jest młoda studentka, bohaterem — poeta pokolenia międzywojennego. Akcja powieści toczy się w małym miasteczku w miechowszczyźnie wiosną i latem roku 1939. Miłosny problem „Intermezza" interesuje mnie od dawna. Ma to być powieść o dwojgu młodych, spragnionych wielkiej, wiernej miłości na zawsze. Niestety i ona i on zbyt lekko i powierzchownie zaczęli życie miłosne, aby w obliczu wielkiego uczucia móc z siebie wydobyć te wszystkie wartości, którymi musieliby potwierdzić swoje pragnienia. Jeżeli przez cały czas pobytu w Zakopanem, to znaczy do połowy kwietnia, uda mi się pracować w zamierzonym tempie, mam nadzieję, iż na wiosnę „Intermezzo" będzie gotowe do druku. Oczywiście, jak przy każdej pracy, przykre dla autora niespodzianki są bardzo prawdopodobne.

W najbliższym poza tym czasie Gebethner i Wolff wznawia przedwojenną moją powieść „Ład serca". Dalsze moje plany pisarskie posiadają na razie charakter zbyt osobistych zamyśleń, projektów i pragnień, aby można było o nich bez skrępowania mówić publicznie.

Tadeusz Dobrowolski: Zajmuję się obecnie wykończaniem i uzupełnianiem tekstu książki napisanej w czasie wojny pt. „Malarstwo polskie od Stanisława Augusta do roku 1939". Książka ta zawiera około 900 stron maszynopisu, a trzeba ją będzie uzupełnić materiałem ilustracyjnym w liczbie około 500 rycin. Z braku dobrego papieru ilustracyjnego na razie wydać jej nie można. Brak papieru hamuje też wydanie zamówionej przez Instytut Śląski a napisanej przeze mnie w pierwszych miesiącach powojennych książki pt. „Sztuka na Śląsku", która uwzględnia wszystkie dziedziny plastyki od czasów przedhistorycznych do ostatnich. Na druk czeka także zredagowany przeze mnie podręcznik pt. „Muzealnictwo", praca zbiorowa, rozpoczęta jeszcze przed wojną przez Związek Muzeów w Polsce a dokończona obecnie pod moim kierunkiem. Do książki tej napisałem szereg rozdziałów. Ponieważ wszystkie trzy wymienione książki czekają wciąż na papier, zajmuję się stale ich „szlifowaniem".

W tej chwili piszę rozprawkę na temat hermetyzmu i izolacji współczesnego malarstwa; jest ona wyrazem pewnej zmiany kierunku mych zainteresowań, które coraz rzadziej łączą się z historią sztuki średniowiecznej i czystym opisem faktów, a coraz częściej dotyczą problemów sztuki współczesnej i zagadnień teoretycznych.

Co do planów pisarskich, chciałbym zabrać się do pracy nad obfitym zespołem piastowskich nagrobków śląskich (głównie z XIV w.), w czym miał mię poprzeć Instytut Sztuki w Warszawie. Zbieram też materiały do książki o współczesnym malarstwie Europy, które chciałbym ująć jako funkcję różnorodnych, krzyżujących się ze sobą przyczyn historycznych, społecznych, biologicznych, psychologicznych itd., ale do tego zadania nie czuję się jeszcze dostatecznie przygotowany.

Stefan Kisielewski: 1) W najbliższej przyszłości ukazać się ma moja pierwsza i jedyna jak dotąd powieść pt. „Sprzysiężenie", napisana w latach 1942—44 w Warszawie. 2) Obecnie pracuję przeważnie nad publicystyką (artykuły, polemiki, recenzje itp.) oraz nad rekonstrukcją mojej twórczości muzycznej, zniszczonej niemal całkowicie w czasie Powstania Warszawskiego. 3) Chciałbym przygotować do druku tom nowel (dwie już mam gotowe) oraz studium krytyczno-estetyczne z zakresu muzyki. Plany te wobec nawału zajęć bieżących mogą jednak okazać się całkiem utopijne. Jeśli chodzi o utwory muzyczne, to wkrótce ukaże się nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w Krakowie moja Toccata na fortepian.

Stanisław Kowalewski: W najbliższym czasie zamierzam wydać tom, złożony z 7—8 opowiadań pt. „Ofiarowanie". Opowiadania te będą związane z okresem bezpośrednio poprzedzającym wybuch wojny i okupacją. Obecnie opracowuję dłuższe opowiadanie pt. „Ucieczka", a w przygotowaniu mam powieść pt. „Wojna trwa".

Wojna toczyła się na wiele lat przed właściwą rozgrywką, ujętą w cyfry 1939—1945. Ludzie i historia, ich wzajemny układ i wielokrotna współzależność — pociągają mnie jako temat. Zresztą temat to ogromny.

W powieści ograniczę się tylko do szeregu podpatrzeń i wycinków życia na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia, oczywiście w pewnej ciągłości i konsekwencji. Chcę sięgnąć w dziedziny dotąd jeszcze dostatecznie nie zaktualizowane literacko. Szkoła okresu jędrzejewiczowskiego, uniwersytet pod białym terrorem polskiego nazizmu, wrzesień 1939, wreszcie okupacja... Twarde bastiony życia robotniczego, życia walczących obok grzęzawisk handlu i szantażu.

Ostateczny rozkład jednego świata, obok rozwijającego i gruntującego się świata nowych ludzi i nowych idei. Wreszcie wyzwolenie. Bohaterem powieści będzie pewien zespół ludzi, dojrzewających i uświadamiających się w nurcie historii ostatnich lat. Powieść „Wojna trwa" będzie miała ambicje ukazania możliwie wiernego i autentycznego „ciągu" momentów z wielkich dziejów walki o człowieczeństwo i postęp.

Ludwik Hieronim Morstin: Mam gotowe do druku dwa dramaty: „Rycerze Antychrysta", dramat historyczny z XIII wieku, oraz „Ognie nad rzeką", sztukę o partyzantce chłopskiej i walkach z Niemcami w roku 1944, ponadto przekład czterech ksiąg pieśni Horacego z objaśnieniami.

Obecnie pracuję nad książką „Spotkania z ludźmi" ujmującą we formie wspomnień sylwetki wybitnych ludzi, których w życiu spotkałem, oraz nad poematem z życia wsi polskiej w czasie okupacji.

Aniela Nitschowa: Wkrótce ma wyjść powieść moja dla młodzieży, której przedmiotem jest na tle wojennym osadnictwo na Pomorzu. Ma także wyjść nowe wydanie dawniejszej powieści „W grodzie żaków". Co do planów na przyszłość zaś, to moje mają stale tę cechę, że nigdy nie wiem, czy się spełnią. Wobec tego lepiej chyba nie zaprzątać nimi niczyjej uwagi, która pożyteczniej może być zajęta czym innym.

Marian Promiński: Na ankietę odpowiem pokrótce, łącząc wynurzenia na dwa pierwsze pytania w jeden punkt, gdyż bieżące plany wydawnicze i pracę nad książką uważam u siebie za dwa aspekty tej samej sprawy.

Kończę pisanie powieści „Twarze przed lustrem" (jeszcze kilkadziesiąt stron!) i rzecz jasna — będę się starał wydać ją jak najprędzej. Jest to powieść psychologiczna, obrazująca indywidualne konflikty ludzkie, które — wierzę w to — nie przestały kształtować się w ponurych czasach zbiorowej odpowiedzialności i nie przestały interesować czytelników. Pomyślałem swą książkę, jak wszystko zresztą co dotąd napisałem, jako powieść biologiczną — o prawach rządzących w życiu i od ludzi niezależnych, i jako powieść o moralności — w tej strefie, za którą już człowiek odpowiada. Tłem akcji jest okupacja niemiecka w jednym z dużych miast na wschodzie i świat Niemców, który tę rzeczywistość stworzył. Ze świata Niemców tylko jedna postać odrywa się od tła, by wejść jako dramatis persona w główny nurt opowiadania.

Zamierzam napisać studium o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu dla „Twórczości" i w ten sposób powrócić do przerwanej na długo pracy krytycznej.

Potem odsapnę. A potem powrócę do koncepcji „Lüdigerów", powieści zamierzonej jako „roman fleuve", której pierwszy tom wydany przed wojną został skonfiskowany i tylko w nikłym procencie ukazał się na rynku księgarskim. Jeśli nic nie stanie temu na przeszkodzie, napiszę tom drugi i wydam obydwa razem.

Artur Maria Swinarski: 1) Wydaję książkę pt. „Pisane w Pradze", pamiętnik wycieczki do stolicy Czech — oraz dwie książki dla dzieci: „Odwiedziny smoka" (rysunki Józefa Mroszczaka) i „Słoń i kos" (rysunki własne). 2) Kończę siódmy z rzędu utwór dramatyczny pt. „Powrót Alcesty" i zacząłem ósmy, komedię współczesną na cztery osoby pt. „Gra o Barbarę". Przekłady z poezji czeskiej. 3) Plany na najbliższą przyszłość: zrekonstruowanie spalonej w czasie wojny sztuki o Tristanie i Isoldzie pt. „Serce nietoperza"; napisanie dramatu, naszkicowanego w ostatnim roku okupacji pt. „Sześciu z Calais", i małżeństwo z rudą dziewczyną.

Alina Świderska: Czy i jaką książkę wydaję i nad czym pracuję obecnie? Od początku wojny zajęta jestem pracą nad zamówioną u mnie jeszcze przed wojną powieścią biograficzną o Mickiewiczu, która to praca z powodu ciężkich warunków, nie tylko materialnych, ale przede wszystkim moralnych postępuje nadzwyczaj powoli. Mam jednak nadzieję do lata bieżącego roku ją ukończyć.

Jakie są moje plany pisarskie i wydawnicze na najbliższą przyszłość? Po ukończeniu powieści o Mickiewiczu, jeżeli mi jeszcze czas i siły pozwolą, chciałabym jeszcze napisać powieść biograficzną o Słowackim, jako ostatnią z zamówionej u mnie trylogii powieściowej o trzech wieszczach. Nawiasowo dodaję, że punktem wyjścia stała się tutaj wydana pt. „Zygmunt" powieść biograficzna o Krasińskim, która zachęciła wydawcę do zaproponowania mi pełnej trylogii.

Z dalszych planów wydawniczych pragnęłabym bardzo wydać ostatni tom mojej powieści biograficznej o Wagnerze, przygotowany do druku już od sześciu lat, i który miał się drukować we wrześniu 1937 (umowa co do tego była już zawarta). Obawiam się jednak, żeby temu nie przeszkodziły panujące obecnie nastroje antywagnerowskie. Odnośnie tego, jedna mała uwaga. Niedawno temu zapytał mię ktoś, czy moje poglądy na Wagnera nie uległy teraz zmianie? Dziwne pytanie! Wagner *jako człowiek* nigdy nie był dla mnie sympatyczny, ale miałam i mam dla niego podziw jako dla geniusza i to nie może ulec zmianie.

Wreszcie mam od dawna gotowy całkowity przekład tercyną „Boskiej komedii", który już parę razy miał się drukować, i za każdym razem przeszkodził temu jakiś fatalny zbieg okoliczności. Zależy mi na tym, żeby tę moją pracę, którą uważam za najważniejszą, wydać jeszcze za życia.

„Oto są grzechy mojego żywota".

PS. Wiem, że Henryk Stary (tj. Sienkiewicz) teraz niemodny, ale jednak, czyby nie warto przypomnieć, że w tym roku przypada stulecie jego urodzin?

PRZEGLĄD PRASY

Drugiego zeszytu „*Twórczości*" nie sposób nie potraktować jako wydarzenia. I nie tylko poziom prac skłania do takiej oceny. Przede wszystkim ważkość i aktualność zagadnień oraz ich dobór.

Ocena pisma nie powinna jednak przesłaniać sprawy najistotniejszej. Przemiany społeczno-polityczne, które się w Polsce dokonują, nie dzieją się na powierzchni, w jakiejś warstwie zewnętrznej. W świadomości kulturalnej, chociaż nie wszyscy niestety ją posiadają, odbywa się proces nie mniej głęboki i nie mniej twórczy. Zasługą „Twórczości" jest ukazywanie tych przemian dogłębnych. (Tak jak winą „Nauki i Sztuki" jest ich maskowanie).

Zeszyt mickiewiczowski „Twórczości" ukazał oblicze ideowe pokolenia współczesnego, dla którego odpowiedzialność (za słowo, za czyn) jest sprawą najważniejszą. W aktualnym zeszycie poświęconym w części powstaniu krakowskiemu z roku 1846 ukazana została rzetelność i konieczność historyczna przeobrażeń, które się stają. **Roman Werfel** w niezwykle celnej pracy „Dembowski i Szela" dotyka spraw, które dotychczas na skutek zakłamania „narodowego" pozostawały w ciemności. Ujawnia tę najlepszą polską tradycję, od której odżegnywanie się znaczyło w niedalekiej jeszcze przeszłości nie tylko walkę z postępem społecznym, lecz również kierowanie narodu do zagłady. Pisze w zakończeniu:

„Trzeba było krwawego doświadczenia epoki rozbiorów, trzeba było ciężkich prób zwycięstwa reakcji w odrodzonym państwie, trzeba było tragicznej katastrofy wrześniowej, ażeby naród polski, ażeby masy ludowe, ażeby reprezentujące te masy stronnictwa demokratyczne zerwały z nieszczęsną tradycją kapitulacji wobec reakcji, kapitulacji wobec klas dawniej posiadających. W latach 1944—1945 rozwój wypadków w Polsce odbył się po raz pierwszy nie podług utartego schematu kapitulacji przed reakcją. Po raz pierwszy w skali całego narodu, całej Polski zrealizowana została koncepcja inna — koncepcja Dembowskiego, kiedy w jedną nierozerwalną całość łączył walkę o wyzwolenie narodowe i walkę o wolność ludu polskiego, gdy z bronią w ręku przełamywał reakcyjne zamachy stanu. W walce z niemieckim najazdem demokracja polska po raz pierwszy wysunęła się jako siła nie tylko samodzielna formalnie, ale samodzielna i faktycznie, bo prowadząca za sobą, za swoją śmiałą polityką nieprzejednanej walki z wrogiem i zasadniczych reform społecznych cały naród polski". „Obóz demokracji polskiej, realizując swój program zasadniczych reform społecznych w Polsce, realizuje zarazem testament powstania krakowskiego, testament swych poprzedników, bojowników 1846 r.".

Oprócz pracy Romana Werfla „Twórczość" zamieszcza dla charakterystyki Rewolucji Krakowskiej autentyczny „Pamiętnik z roku 1846" Lucyny Kraśnickiej, która z godziny na godzinę spisywała wydarzenia tych gorących dni lutego oraz artykuł **Jerzego Eugeniusza Płomieńskiego** omawiającego układ polityczny w Rzeczpospolitej Krakowskiej przed wybuchem powstania.

Również rocznica kościuszkowska została w „Twórczości" upamiętniona. W tym wypadku chodziło raczej o charakterystykę osobowości Kościuszki, niż o aspekt społeczny jego działalności. Wybór (dokonany przez **Adama Mauersbergera**) rozmów Naczelnika z królem, carem Pawłem odznacza się świeżością dość trudną do osiągnięcia w wypadku postaci tylekrotnie już portretowanej w historii. Natomiast dramat **Janiny Skowrońskiej-Feldmanowej** „Tadeusz i Ludwika", którego dwa akty „Twórczość" zamieszcza, powtarza raz jeszcze ten ckliwy i aż za dobrze znany motyw młodzieńczej miłości Kościuszki.

Tak się dotychczas szczęśliwie składa, że nawet prace o charakterze trwałym, niezwiązane z chwilą bieżącą kulturalnie, które „Twórczość" zamieszcza, posiadają głęboki sens i ważność właśnie dzisiejszą. Pracę **Romana Ingardena** „Człowiek i czas" czytamy nie tylko z wielkim zainteresowaniem towarzyszącym każdej lekturze tego filozofa, lecz także z poczuciem jej również teraźniejszej celności.

Dyskusji o realiźmie, która dotychczas odbywała się na terenie ogólno-ideowym, **Kazimierz Wyka** artykułem „Pogranicze powieści" nadaje tok konkretny i wymierny. Nareszcie! Bo namiętność, z jaką dyskusję tę prowadzono, wiodła do uproszczeń i sformułowań niemożliwych do artystycznego przyjęcia. Wypowiedziany między innymi postulat przeciwstawienia realizmu formalizmowi mógł być nawet tłumaczony na żądanie rezygnacji z doskonałości formalnej. Wyka omawiając konkretne książki (Szmaglewskiej, Pruszyńskiego i Andrzejewskiego) czyni wysiłki, by ustalić formę powieści realistycznej, stwierdzając na wstępie, iż „niedostatecznie w dotychczasowej dyskusji podkreślono, że przy problemie realizmu kwestie właściwej formy są równie doniosłe, co przy sprawie psychologizmu i formalizmu".

Lecz największym osiągnięciem drugiego zeszytu „Twórczości" jest „Diariusz kultury polskiej 1945" opracowany przez **Piotra Grzegorczyka.** Nie chodzi już nawet o ocenę dokonania istotnie niezwykłego w warunkach dzisiejszych, kiedy do uporządkowania organizacyjnego spraw kultury jeszcze daleko. (Pamiętamy, że w przeszłości było to wydawnictwo specjalne, którego żaden miesięcznik, mający przecież własne nie małe kłopoty, nie podjąłby się.)

Diariusz obrazuje przebieg życia kulturalnego w całym kraju. Literatura, muzyka, teatr, plastyka, muzea, szkolnictwo, upowszechnianie kultury, odczyty, wszystko. Przestudiowanie „diariusza" zabija radykalnie pesymizm. W Polsce kultura się rozwija! Diariusz jest dowodem naszej żywotności, ukazuje dokonania (679 pozycji, z tym że każda z nich obejmuje kilka wydarzeń) w sposób niezbity. Należałoby, ażeby cała emigracja (zewnętrzna i wewnętrzna) z nim się zapoznała.

P. Grzegorczyk we wstępie do Diariusza precyzuje główne cechy charakteryzujące aktualne życie kulturalne: 1. **Przesunięcie geokulturowe** (ze wschodu na zachód). 2. **Decentralizacja** kulturalna (zniszczenie Warszawy). 3. **Renowacja** kulturalna (reforma rolna, reforma szkolnictwa). 4. Czynnik **organizacyjny** (rola artystycznych związków zawodowych). 5. **Uaktywnienie** społeczno kulturalne (pisarzy, artystów, uczonych).

Wadą diariusza jest nieuwzględnienie okresu lubelskiego (ze względów technicznych, obejmuje tylko kalendarzowy rok 1945), przez co, wobec późniejszych dokonań, zaciera się obraz najbardziej twórczego okresu demokratyzacji kultury w Polsce. Brak ten należałoby uzupełnić. Może Ministerstwo Kultury i Sztuki ułatwiłoby autorowi diariusza dotarcie do niezbędnych źródeł?

zb

Nagroda literacka Krakowa

JULIAN PRZYBOŚ
otrzymał nagrodę literacką Krakowa za tom poezji „Miejsce na Ziemi".

Z życia koncertowego w Krakowie

Koncert piątkowy Filharmonii w dniu 8 marca zawierał program wyjątkowo piękny: Bacha Koncert brandenburski. Beethovena Koncert skrzypcowy z **Ireną Dubiską** jako solistką i Brahmsa II Symfonię, nie graną w Krakowie bardzo dawno. Jeżeli mowa o wykonaniu, na pierwszym miejscu postawić należy koncert Beethovena, przede wszystkim dzięki solistce, odczuwającej powagę swego zadania i styl utworu. Zwłaszcza część II koncertu wykonana ze spokojem, skupieniem i umiarem klasycznym zasługuje na uznanie. Akompaniament orkiestry (dyrygował **A. Panufnik**), nie uwydatniający dostatecznie linii konturowych, nie dość czysty i jasny w brzmieniu, nie był też bez grzechów, jeżeli idzie o zgodność z solistą i o stosunek dźwięku i dynamiki w zróżnicowaniu pierwszo- i drugoplanowych partii w orkiestrze. Ta czystość i jasność brzmienia zawiodła też przy Bachu. Był on w ujęciu stylistycznym zbyt upodobniony do klasyków, zwłaszcza w traktowaniu orkiestry i w tempach. Ale najwięcej zastrzeżeń co do koncepcji odtwórczej mamy, jeżeli chodzi o Symfonię Brahmsa. Nie wiem, czy dla młodych muzyków dzisiejszych stała się muzyka Brahmsa pustym dźwiękiem bez treści? Czy jego częsta gadatliwość, nieraz może nawet pewna retoryka i patos, zakryły im istotne piękności tej muzyki? Dla mnie osobiście jest Brahms jednym z największych symfoników. Odczuwamy to wszyscy, że nie jest to język kompozytora współczesnego, więcej nawet, że jest to język i środki, od których dzisiejszy kompozytor stroni, ale mimo tego trudno nie ulec urokowi tego cudownego liryzmu muzycznego, tak szczerego i czystego zawsze, że niewiele podobnych przykładów znaleźć można w całej literaturze muzycznej! I jakże to jest możliwe, żeby tak zdolny muzyk i dyrygent przeszedł obok tych piękności z tak dziwną obojętnością, pozostając jak gdyby poza zasięgiem ich oddziaływania! Faktem jest, że nie były to poszczególne niedociągnięcia techniczne tylko (było ich zresztą w orkiestrze tak mało), które zepsuły cały efekt tego utworu, ale właśnie jakaś dziwna obojętność wewnętrzna, niemożność czy niechęć zbliżenia się do samej koncepcji twórczej.

W niedzielę 10. III. prowadził **Panufnik** uwerturę Beethovena „Koriolan" oraz V. Symfonię; wydobył ładnie liryczne akcenty jej części II., powolnej, która miała dobre tempo, wykończoną frazę i nawet finezję dynamiki, natomiast Finale było wzięte za szybko, a część I. zawiodła w kulminacyjnym punkcie końcowym, gdzie temat występuje w swej formie zdynamizowanej. Solistą był **Adam Kopyciński**, który wykonał z towarzyszeniem orkiestry Beethovena Koncert Es-dur. Wykazał przy tym solidność muzyczną i techniczną mimo znacznej nerwowości, racjonalne podejście do dzieła pod względem samego tonu i ogólnej koncepcji. Mniej szczęśliwie wypadły bisy chopinowskie (bardzo powierzchowne ujęcie Mazurka, zbyt wielkie i nie uzasadnione dowolności tempa rubata).

Ewa Bandrowska-Turska wystąpiła z recitalem o pięknym i bogatym programie, w którym obok arii operowych znalazły się stare utwory hiszpańskie, nie wykonywane prawie u nas pieśni Liszta i grupa utworów polskich kompozytorów współczesnych (Maklakiewicza „Pieśń o burmistrzance". aria Roksany z „Króla Rogera" Szymanowskiego i Palestra wyjątek z opery do tekstu z „Żywych kamieni" Berenta). Wielka śpiewaczka zdobyła znowu ogromne powodzenie dzięki wyjątkowemu urokowi swego głosu (przepiękne piana!), temperamentowi artystycznemu (stylowe wykonanie arii z „Cyrulika"), inteligencji i muzykalności. Oklaskom i bisom nie było końca.

Stefania Łobaczewska

KRONIKA FILMOWA

„Jezebel", film produkcji amerykańskiej, reż. William Wyler.

Czas — połowa ubiegłego stulecia, środowisko — magnateria w Południowych Stanach, centralna postać — dworska, względnie pałacowa panna na wydaniu, złośnica, przewrotna, władcza, samolubna — aż tak bardzo, że przez kochającą ją ciotkę zostaje nazwana biblijną Jezebel. Swymi postępowaniem doprowadza do zerwania z narzeczonym, którego jednak szczerze kocha. Łudzi się, że narzeczony do niej powróci, w tym się jednak pomyliła. Ukochany powraca, co prawda, w progi jej domu, wezwany na Południe w misji tępienia żółtej febry, ale... z żoną, pogardzaną yankeską. Ten wstrząs psychiczny uświadamia bohaterce jej życiową przegraną i własną małość, ale nie potrafi jej odwieść od walki o utracone szczęście, od poważnienia przyjaciół, kiedy to z jej powodu jej cichy wielbiciel i przyjaciel domu ginie w pojedynku, wyzwany broniący niesłusznej sprawy. Dopiero gdy Peston pada ofiarą żółtej febry i według surowej litery prawa grozi mu deportacja na wyspę trędowatych. Jezebel zrywa się do pojedynku, ale szlachetnego, pojedynku na uczucie z żoną Prestona, równie głęboko i mocno kochającą go jak ona. Nawrócona Jezebel czuje się silniejsza i bardziej przystosowana do walki o życie ukochanego w surowych warunkach na wyspie trędowatych; tym też chce okupić dotychczasowe swoje winy, i... dostaje błogosławieństwo na drogę od Amy.

Przy całej tej bogatej treści film nie został uratowany od pewnego, właściwego amerykańskim scenariuszom konwencjonalizmu, od psychologicznej sztampy, aktorsko rozgrywającej się w szczególikach i zanadto wyrazistej, już tak, by widz nie mógł się co do intencji reżysera pomylić. Dlatego i gra Bette Davis, niewątpliwie doskonałej aktorki, była tak bardzo autentyczna, że rzuca cień na jej prywatne życie. W każdym razie, gdybym miał wybierać sobie ukochaną spośród gwiazd Hollywoodu, nie wybrałbym już Bette Davis.

Marian Promiński

Z teki dr Prota Sowizdrzała

JAK PISANO O MICKIEWICZU

Dziwię się bardzo, że bieżąca rocznica mickiewiczowska nie pobudziła ani uczonych do retrospektywnego przedstawienia wyników naszej mickiewiczologii, ani literatów do okolicznościowego, anegdotycznego oświetlenia jubileuszu. Ani mięsa, ani pierza. Ani pożytku, ani krotochwili.

Drukując, parę wycinków z teki mego zmarłego przyjaciela, niestrudzonego czytelnika i trochę zabawnego zbieracza osobliwości z zakresu literatury i kultury, dr Prota Sowizdrzała, kieruję się myślą pedagogiczną: pragnę połączyć retrospekcję z anegdotą, co więcej, chciałbym uchwycić ten punkt, w którym retrospekcja staje się anegdotą. O ile mi się to udało, łaskawy czytelnik osądzi.

Wycinki dr Sowizdrzała dochowały się w tece tekturowej 18×63 cm. Każdy z nich był starannie podklejony, o ile sądzić mogę przy pomocy gumy arabskiej, papierem liniowanym bez znaków wodnych. Dr Sowizdrzał zaopatrzył swe zbiory w nagłówki, wypisane atramentem czerwonym i przydał niewielkie komentarze, kreślone atramentem zielonym, wyblakłym, z czego należałoby wnosić, że komentarze powstały wcześniej niż tytuliki. Karteczki z nagłówkami i objaśnieniami (papier kratkowany) są przyczepione do wycinków klejem z mąki kasztanowej, niezbyt starannie wymieszanej, jakby wskazywały wzdęcia papieru.

Przedrukowujemy tutaj materiały bez żadnych zmian, przez szacunek dla dr Sowizdrzała, pozwalając sobie tylko na modernizację pisowni.

CZAS TO GENIUSZ, CZYLI PROMETEUSZ PO TYROLSKU

„Można by go (Prometeusza Goethego) sobie wyobrazić w muskularnej postaci niemieckiego gimnastyka, z szerokim, perełkami wyszywanym pasem zamiast kamizelki, rezonującego dużo i bardzo głośno". (Prof. Maks. Kawczyński. Rozpr. Wydz. Filol. t. XXI. str. 38. Kraków 1894).

„Nie twierdzimy bynajmniej, aby Mickiewicz był w całości większym poetą niż Goethe, bo i żył krócej i w przykrych warunkach życia". (Tamże str. 43).

„Przypatrzmy się przekonaniom Mickiewicza samego: w Wilnie pomiędzy filaretami podzielał szczerze ich dążności, ale w Moskwie i Petersburgu szybko się zastosował do nowych przyjaciół, w Rzymie oddał się znów wpływowi nowego otoczenia, w Dreźnie, w towarzystwie przybyłych tam filaretów-wygnańców, ożywił w sobie dawne filareckie uczucia, wreszcie w Paryżu stał się ofiarą Towiańskiego. Kiedyż on był samym sobą? Ta niepewność i niestałość przekonań, wypływająca z wielkiej i różnostronnej wrażliwości umysłowej, nie tylko nie osłabiała, ale nawet potęgowała jego dar poetycki, ale do bezwzględnego władania duszami w tej samej mierze niezdolnym go czyniła.". (Tamże str. 46—7).

CO LITERATURA NIEMIECKA ZAWDZIĘCZA PEWNEJ STAREJ PANNIE, CZYLI GENIUSZ TO PRZYMIOT

Prof. Maks. Kawczyński zastanawia się nad tajemnicą geniuszu Goethego:

„Pytanie teraz, skąd Goethe sam nabrał przymiotu, który go uczynił genialnym w nauce i poezji... Nabrał go, tak przypuszczamy, od panny Klettenberg, poczciwej starej panny, przyjaciółki jego matki i jego samego, troskliwej opiekunki w długiej chorobie, w którą zapadł, z Lipska wróciwszy do domu". (Tamże str. 50).

Medycyna nie zna tak dobroczynnej postaci przymiotu, jak zapewniali mnie znajomi lekarze.

„SZESNASTOLETNIM SIĘ PRZYBLIŻYĆ LICOM POZWÓLCIE"...

Co szeptali sobie Mickiewicz z Marylą w cienistej altanie tuhanowickiej, to pozostanie pewnie na zawsze tajemnicą dla niepocieszonych mickiewiczologów. „To pewna — zauważył Wł. Bełza — że Mickiewicz po kilkokroć z uniesieniem wspomina „pocałunek jej jak nektar boski", pocałunek, który jest przecież pieczęcią miłości:

O luba, zginąłem w niebie,
kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!

Nie gorszmy się jednak tą powolnością Maryli. W całym zresztą jej stosunku do Adama nie widzimy nic zgoła, co rzucałoby cień podejrzenia na dobrą jej sławę i co osłabiałoby w nas uczucie szacunku dla jej nieskazitelnego postępowania. Bo że tam kiedyś może w toku tkliwszej rozmowy, spotkały się jej usta z ustami Adama, toć w tym nie ma jeszcze tak wielkiego grzechu. Podobnej niewinnej rozkoszy pozwalali sobie od wieków najidealniejsi kochankowie, a nikomu nie przyszło na myśl pociągać ich za to do odpowiedzialności". (Z epoki Mickiewicza. Lwów, 1911. str. 46).

Jeśli nikomu dotąd nie przyszło do głowy pociągać kochanków za pozwalanie sobie na tak niewinne rozkosze, to czemu przyszło na myśl Władysławowi Bełżie przeprowadzać obronę nieskażitelnej powolności Maryli, obronę psychologiczną, moralnie-sytuacyjną et cum argumentis ex traditione erotica? Bo że tam kiedyś może, w toku tkliwszej rozmowy itd.

MAJACZENIA POTWORA

„I znów wracamy w głąb duszy przedziwnego stwora, co ma skrzydła z barw szaleństwa, tułów rubaszny w żytach i pszenicach rozparty, młode piersi radosnej piękności, łapy lwa, a głowę —? Tę głowę o włosach płowych, przez które skry elektryczne i sny ogromne przechodzą? Jaką głowę posiada ów stwór, zwany narodem, którego serce jest jaskinią cudu danielowej?

On śpi, — ale serce jego czuwa i ma sny —, a jednemu z tych snów na imię Mickiewicz. Bo kiedy potwór taki majaczy, to sny jego stają się ludźmi i żyją i czują coś i tworzą i zdradzają głębokie swoje tajnie i kończą się kłamliwie lub proroczo, według praw swojej natury. Sen przeszedł; wykładajcie go teraz wróżbici"... (A. Górski. Monsalwat, str. 143).

Czy można tak się znęcać nad wróżbitami?

„TERAZ, BRACIA, PIOSENKĘ LEPSZĄ POSŁYSZYMY"

„Hymn na dzień Zwiastowania N. P. Maryi jest pierwszym wspaniałym zwiastunem prześlicznych religijnych porywów, którymi wznosić nas będzie poeta przed tron Stwórcy. I treść i forma Hymnu są niezwykłe.

Zapał rwący nie pozwala zrazu zastanowić się nad tym wybuchem religijnego uniesienia. Potęga głosu jest taka, o jakiej żaden z dotychczasowych wierszy marzyć nie pozwalał. Śpiewać trzeba by ten hymn, nie deklamować, aby ocenić wszystkie jego piękności".

(J. Kallenbach. Adam Mickiewicz, wyd. 3 1923. I. 164).

Można i tak, byle nie na nutę znanej pastorałki: Dobył tak wdzięcznego głosu baraniego, Aż się świat polonistyczny przestraszył od niego!

Podał do druku

Sigma

Prapremiera „Dwóch teatrów"

JERZY SZANIAWSKI
którego sztukę „Dwa teatry" wystawił Teatr Powszechny w Krakowie.

KORESPONDENCJA

JESZCZE O STACJI POLSKIEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W MOSKWIE

Do redaktora „Odrodzenia"

Artykuł p. Ewelina Sitkowskiego „O stacji naukowej Polskiej Akademii Umiejętności w Moskwie" w 66 numerze „Odrodzenia" zawiera obok bezspornie słusznych uwag o potrzebie współpracy między nauką polską i rosyjską i o korzyściach, jakie by przyniosło dla niej zorganizowanie stacji naukowej polskiej w Moskwie, także niesłuszne pretensje pod adresem PAU.

Na jakiej podstawie opiera p. Sitkowski twierdzenie, że zrozumienie prawd, iż współpraca na polu nauki zbliża narody i że zbliżenie takie jest konieczne w stosunkach między nauką polską a radziecką, „nie objęło Polskiej Akademii Umiejętności"? Czy dlatego, że PAU nie zorganizowała jeszcze dotychczas stacji naukowej w Moskwie? Ale czy p. Sitkowski nie wie, że zorganizowanie choćby najskromniejszej stacji zagranicznej wymaga środków, sił i czasu, jakimi jeszcze nie rozporządza instytucja, dopiero dźwigająca się po strasznym rozgromie?

P. Sitkowski twierdzi jednak więcej: że „niestety do chwili obecnej Polska Akademia Umiejętności nie tylko nie wszczęła kroków w kierunku realizacji projektu (zorganizowania stacji w Moskwie) ale nawet nie zajęła w tej sprawie żadnego stanowiska".

Ta sprawa wymaga wyjaśnienia.

We wrześniu 1945 nadeszło do Akademii krótkie pismo, podpisane przez p. Samuela Fiszmana, doktoranta Centralnego Instytutu Doskonalenia Lekarzy w Moskwie, z propozycją zorganizowania stacji naukowej PAU w Moskwie i z argumentacją, przypominającą w szczegółach artykuł w „Odrodzeniu".

Jakkolwiek pismo miało charakter najzupełniej prywatny, to znaczy nie zdradzało najmniejszego śladu uzgodnienia projektu ani z ataszatem naukowym Ambasady R. P. w Moskwie, ani tym mniej z ambasadorem, odpowiedział na nie Prezes PAU listem z 17. IX. 1945 r., w którym pisał m. in.:

„(PAU) przed wojną miała zamiar powołać do życia jeszcze dwie (stacje naukowe), mianowicie w Londynie i Moskwie, ze względów jednak politycznych i finansowych ta rzecz nie mogła dojść do skutku. Jestem pewny, że Zarząd Akademii i Walne Zgromadzenie oświadczą się za utworzeniem tych stacji, gdyż już kwestia ta była w Akademii poruszana, trudności jednak komunikacyjne i finansowe, nieustalone jeszcze podstawy bytu Akademii, prawdopodobnie nie dozwolą na rychłe wprowadzenie w życie tych zamierzeń. Trzeba się również liczyć z tym, że obecnie tak dużo jest pracy dla naukowców w kraju i tylu z nich w czasie wojny ubyło, że nie będzie łatwą rzeczą odpowiednich ludzi na członków Stacji znaleźć".

W miesiąc później, korzystając z odwiedzin p. ambasadora Raabego w Krakowie, w dn. 25. X. 1945 r., przedstawiłem mu projekt zorganizowania stacji naukowej PAU w Moskwie i zapytałem, czy w obecnych warunkach uważa zrealizowanie go za możliwe, na co otrzymałem odpowiedź negatywną. Pan ambasador był zdania, że z powodu istniejących jeszcze trudności należy się z projektem wstrzymać.

Istotnie trudności, nie tylko w Akademii, lecz i ogólne, są tego rodzaju, że udaremniają realizację nawet o wiele łatwiejszych zamierzeń. Za dowód może posłużyć niedoszła do skutku, a tak bliska realizacji wycieczka młodych przyrodników polskich do rezerwatów przyrody ZSRR, o której głośno było w prasie, a która ostatecznie skończyła się fiaskiem.

Niestety trzeba stwierdzić z ubolewaniem, że nawet zwykła wymiana wydawnictw naukowych, mimo wszelkich wysiłków z naszej strony, nie zdołała jeszcze wejść na właściwe tory, jak się zdaje głównie z powodów komunikacyjnych. Jadąc do Moskwy na uroczystości 220-lecia Akademii Nauk ZSRR zabrałem z sobą dużą partię wydawnictw PAU z r. 1939 i ukończonych konspiracyjnie w okresie okupacji niemieckiej, które imieniem Akademii ofiarowałem fundamentalnej Bibliotece Akademii Nauk w Moskwie. Dar, który otrzymałem w zamian dla naszej Akademii, złożony w lipcu 1945 r. w Ambasadzie R. P. w Moskwie do tej chwili jeszcze do nas nie doszedł. Jakkolwiek PAU przesyła za pośrednictwem MSZ do Moskwy wszystkie bieżące wydawnictwa, do tej chwili nie otrzymała ani jednej publikacji wymiennej. Dzieje się tak mimo wielkich wysiłków ze strony prof. Jana Dembowskiego, attaché do spraw nauki Ambasady R. P. w Moskwie, który nie szczędzi trudu, by sprawę współpracy kulturalnej skierować na normalne tory.

Polska Akademia Umiejętności nie ma zwyczaju dyskutować publicznie projektów będących w trakcie realizacji. Stanowisko takie jest chyba dostatecznie zrozumiałe i nie należałoby z niego wyciągać fałszywych wniosków. Ważność stacji naukowej w Moskwie PAU docenia i gdy tylko warunki wewnętrzne i zewnętrzne pozwolą, przystąpi do jej realizacji.

Prof. dr Tadeusz Kowalski
Sekretarz Generalny
Polskiej Akademii Umiejętności

SPÓR O DARWINA

Do redaktora „Odrodzenia"

W nr. 64 „Odrodzenia" z 17 lutego br. pojawiła się pod moim adresem notatka polemiczna Józefa Sieradzkiego w artykule pt. „Czerwone i czarne". Ze swej strony nie zamierzam polemizować z p. Sieradzkim, bo to, co nas rzekomo różni, jest wynikiem błędnego rozumienia mego artykułu w „Tygodniku Powszechnym". Chodzi mi więc tylko o sprostowanie. Otóż podkreślam z całą stanowczością, że nie ma w moim artykule ani jednego zdania, które by można pojmować jako oskarżenie Darwina i przypisywanie mu odpowiedzialności za nadużycie jego teorii naukowych przez niemiecki nacjonalizm i rasizm. Znam dzieła Darwina nie z cudzej powieści, ale z własnego pilnego ich czytania i wiem, że on sam nigdy by się nie zgodził na przenoszenie jego teorii dotyczących świata roślin i zwierząt w sferę stosunków ludzkich. O tym przekonywać mię nie potrzeba. Cytowane przez p. Sieradzkiego zdanie z mego artykułu, że Darwin był „ojcem duchowym" niemieckiego nacjonalizmu i rasizmu, nie uprawniało do wniosków, które antagonista mój wysnuł. Można zacytować bardzo wiele przykładów z dziejów umysłowej kultury ludzkości, że pewne idee bywały wyzyskiwane w sposób zupełnie nieprzewidziany przez ich twórców i sprzeczny z charakterem ludzi, którzy je w świat rzucili. Twórcy ci stawali się wówczas ojcami duchowymi myśli czy objawów życia, które sami gorąco potępiali.

Drugie sprostowanie dotyczy języka. P. Sieradzki cytując moje zdanie widocznie z pamięci przypisuje mi użycie formy *dokonywuje*, zamiast użytej przeze mnie *dokonywa*. Chciałbym zaznaczyć, że nigdzie i nigdy nie użyłem jeszcze wspomnianej formy, będącej wyjątkowym językowym dziwolągiem.

Trzecia sprawa to końcowa aluzja p. Sieradzkiego, kojarząca dziwnie przypisywany mi pogląd na Darwina z antysemickimi wywodami szkolnych katechetów. Co ma w tym wypadku piernik do wiatraka, nie wiem. Wiem natomiast, że już na długo przed wojną dosyć mię natyrpali różni endecy za ostre i stanowcze potępianie antysemickich wybryków młodzieży, posuwając się nawet do podłożenia bomby pod drzwi mojego mieszkania. Toteż jeśli nawet p. Sieradzki słusznie widzi we mnie człowieka stojącego na przeciwnym biegunie ideowym niż on, to jednak sądzę, że całe moje dotychczasowe życie uprawnia mię do żądania, aby w polemice ze mną okazywano mi przynajmniej pewne minimum lojalności.

Konrad Górski (Toruń)

CZY MONOPOL NA BARBARYZMY?

Do redaktora „Odrodzenia"

W numerze 64 „Odrodzenia" Henryk Vogler zamieścił pracę krytyczną pt. „O poetyce Antoniego Słonimskiego". Wśród szeregu bardzo ciekawych odkryć, wynikających z zastosowania metody tzw. krytyki formalnej, razi czytelnika ustęp o barbaryzmach w poezji Słonimskiego. Vogler pisze: „Jedną z dalszych charakterystycznych cech poezji Słonimskiego jest częste operowanie barbaryzmem. ...W wierszu Słonimskiego jednak barbaryzm spełnia swoją ważną funkcję. Sens jej określić można jako egzotyzację życia codziennego... Barbaryzmy te są tu niejako aktem kapitulacji wobec rzeczywistości, która nie mogąc być opanowana w swoich wymiarach szuka rozpaczliwie ujścia w inny system..."

Czyżby?

W tymże samym numerze „Odrodzenia" ten sam autor zamieszcza recenzję przekładu poematu Majakowskiego „Dobrze" i pisze o jego twórcy: „Radość stawania się, twórcza rozkosz budowy nowego ustroju i konstruowania nowych dźwięków i obrazów poetyckich — prowadzi do całkowitej afirmacji trudnej rzeczywistości i do tego..." Czy p. Vogler nie wie, że Majakowski właśnie bardzo często i chętnie używał barbaryzmów w całym szeregu swych utworów?

Jako krytyk powinien o tym wiedzieć i z pewnością wie. Poeci mieszczańskiego „szarego człowieka", do jakich zalicza p. Vogler Słonimskiego, nie wzięli wcale monopolu na używanie barbaryzmów.

Wielkie rzesze czytelników pracy p. Voglera byłyby mu niewątpliwie wdzięczne, gdyby zechciał sprecyzować swoje stanowisko w tej sprawie, albo... przyznać się do popełnionej gafy.

Jerzy Milewski (Słupsk)

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.—Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 012200 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".